

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

PRIX 0,80 F.
CENA 7 F. B.

6 lipca 1969
juillet

Rok wydania XII Nr 27 (611)



FP 2373

KRAJ W OBIEKTYWIE

W połowie czerwca bawiła w Kraju delegacja rządowa gospodarza Czechosłowacji z jej przewodniczącym — wicepremierem CSRS — Samuelem Faltanem, który wraz z małżonką i wicepremierem Antonim Czernikiem zwiedził Warszawę. Gości oprowadzał po Stolicy naczelny architekt Warszawy — Czesław Kotela. Na zdjęciu przed Pomnikiem Bohaterów Warszawy widzimy od lewej — A. Czernika, S. Faltana i jego małżonkę oraz Cz. Kotelę



Mieczysław Świącicki — znakomity aktor i piosenkarz podbija serca tysięcy widzów, występując na stałe na deskach sławnego kabaretu krakowskiego — w Piwnicy pod Baranami. Szczególną sympatią w Kraju Mieczysław Świącicki (absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej i Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie) zjednał sobie oryginalnymi interpretacjami staropolskich, rosyjskich i cygańskich ballad, a także wykonywaniem współczesnych piosenek opartych na jego własnych tekstach poetyckich. Niemalże sukcesy odniósł też Świącicki ostatnio, występując przed kamerami TV w Berlinie. W Paryżu zobaczymy i usłyszymy go wielokrotnie w tegorocznym sezonie

Do najbardziej malowniczych szlaków turystycznych w Kraju należy Jura Krakowsko-Częstochowska, z kilkunastoma malowniczymi ruinami starych zamków oraz oryginalnymi w kształcie skalami wapiennymi tzw. ostańcami. Prezentowane tu zdjęcie przedstawia jeden z ciekawszych obiektów — pozostałości murów niegdyś potężnego zamku w Ogródzie, wzniesionego w latach 1530—1545



Pierwsza w Stolicy — przy ul. Elektoralfiej szkoła tysiąclecia (widoczna na zdjęciu) nosząca nazwę im. Frycza Modrzewskiego, obchodziła niedawno 10-lecie istnienia. W ciągu tego okresu mury szkoły opuściło 366 uczniów, a łącznie z tegorocznymi absolwentami liczba ta wzrosła do ponad tysiąca. Dziś szkolne mury opustoszały, a młodzież przebywa już na licznych koloniach letnich, obozach harcerskich czy sportowych. Wielu uczniów tej szkoły spotka zapewne w Kraju na zasłużonych wspólnych wywczasach młodzież polonijną



Sianokosy już w pełni. Oto jak pracują robotnicy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Krupicach — pow. Strzelin w woj. wrocławskim: Gospodarstwo wyposażone jest w nowy i sprawny sprzęt mechaniczny, a że ziemia tutejsza jest bardzo urodzajna i deszczu w tym roku było sporo, więc i zbiory są dobre

Na szlakach turystycznych Polski nie można pominąć miasta Łańcut — jednej z najpiękniejszych miejscowości Rzeszowszczyzny. Tutaj bowiem znajduje się wspaniały pałac — XVII-wieczny zamek, w którym mieści się jedyne w Kraju muzeum starych karoc i powozów. Tutaj też znaleźć można wspaniałą kolekcję myśliwskich trofeów, z których nieliczne tylko przedstawiamy na zdjęciu. Turyści polonijni chętnie odwiedzają Łańcut



DZIŚ W NUMERZE

- Reymont w Paryżu patrz na stronie 5 i 6
- O stuleciu śląskiego „Kasyna” czytaj na str. 9
- Kowal, legendarne miasto urodzin Kazimierza Wielkiego, jego rozwój i ambicje na stronie 11

POZA TYM:

- Ciekawy, bogato ilustrowany reportaż o pracy ratowników w polskich Tatrach znajdziesz na stronie 12 i 13
- Pan na Janowcu — czyli ostatni kasztelan ● Franciszek Morenc — pseudonim „Samson” ● XV Memoriał Janusza Kusocińskiego oraz stałe nasze pozycje i kolejne odcinki powieści.

W leśnictwie i przemyśle drzewnym, który w Polsce stoi na dobrym poziomie, mechanizuje się coraz więcej prac. Oto jak wygląda korowanie klocków w tartaku Dobre Miasto w woj. olsztyńskim maszyną zakupioną w tym roku z Finlandii, dzięki której przy minimalnej pomocy rąk ludzkich dokonać można wielu skomplikowanych czynności



GEORGES POMPIDOU PREZYDENTEM REPUBLIKI FRANCUSKIEJ

Na ręce Prezydenta Republiki Georges Pompidou, następnego dnia po jego wyborze, wysłał depeszę gratulacyjną przewodniczący Rady Państwa PRL Marian Sychalski:

„W chwili, gdy naród francuski powierzył Waszej Ekscelencji godność Prezydenta Republiki składam Panu — w imieniu Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i własnym — szczerze gratulacje oraz najlepsze życzenia owocnej działalności dla dobra narodu francuskiego.

Jestem przekonany — czytamy dalej w depeszy Mariana Sychalskiego — że stosunki przyjaźni łączące oba nasze kraje będą się jeszcze bardziej umacniać, a dotychczasowa współpraca między Polską a Francją będzie się nadal rozwijać dla dobra obu naszych narodów, w interesie pokoju i bezpieczeństwa w Europie i na świecie”.



Dzisiejszy Prezydent Republiki jako premier — wizytował pawilon polski i skosztował mocnej, polskiej „Wyborowej” Uśmiech świadczy, że znakomitemu gościowi smakował ten trunk

13-LETNI WALDEK Z WATERSCHEI PRZYLECIAŁ DO WARSZAWY

DO WARSZAWY samolotem Polskich Linii Lotniczych LOT przyleciał trzynastoletni Waldemar Wojtowicz z Waterschei (Genk) w Belgii. Chłopiec przyjechał do Polski celem odbycia długotrwałej kuracji w Instytucie Rehabilitacji Narządów Ruchu. Instytutem kieruje znakomity specjalista prof. dr Marian Weiss. Wielomiesięczny pobyt w Instytucie, koszty leczenia, a nawet podróży małego Polaka z Belgii pokrywa Ministerstwo Zdrowia PRL.

Waldek przed sześciu laty uległ wypadkowi. Mimo starań lekarzy nie udało się uratować zranionej nogi. Po amputacji chłopiec miał tak duże trudności z poruszaniem się, że właściwie przestał uczęszczać do szkoły. Kontakty z kolegami urwały się. Został z rodzicami, siostrzyczką i bratem. Ale długie godziny musiał spędzać sam. Jedyne jego radością był mały „zwierzyniec” składający się z psa myśliwskiego ze szczeniętami, kota, białych myszek, wiewiórki. Czytał „Tygodnik Polski”. Słuchał też audycji nadawanych z Warszawy dla Polaków za granicą.

Któregoś dnia zrozpaczony swą samotnością napisał do Polskiego Radia. O nic nie prosił. Opisywał tylko swe życie. Listu do Polski nigdy nie wysłał. Ale kiedyś matka Waldka znalazła w czasie robienia porządków zmiętą kartkę i przeczytała. Dopiero wtedy zrozumiała, jak bardzo cierpi ten cichy i skryty chłopiec. Napisała sama do redakcji audycji polonijnych, załączając pisany przed siedmioma miesiącami list syna.

W redakcji pamiętano, że Waldek był stałym korespondentem. Tym bardziej więc starano się o zrealizowanie prośby matki. Pisała, że prosi o prywatny adres lekarza, który podejmie się leczenia chłopca. Wie, że medycyna w Polsce stoi na wysokim poziomie. Rodzice są więc gotowi sprzedać wszystko, co mają, byle ratować zdolności dziecka do normalnego życia.

**POLSKI CHŁOPIEC
Z BELGII
ODZYSKAŁ NADZIEJĘ**

Polskie Radio sprawę Waldka przekazało do Ministerstwa Zdrowia PRL, ono zaś uzależniło swą odpowiedź od decyzji prof. Weissa. Po zbadaniu zdjęć rentgenowskich, wybitny ortopeda oświadczył: „Widzę szanse przyjscia dziecku z pomocą”. Zadecydowano wtedy: syn



Pierwsze kroki na polskiej ziemi. Za pół godziny Waldek (widzimy go na zdjęciu prawym) będzie już w Konstancinie pod Warszawą, gdzie czeka go troskliwa opieka pod kierunkiem prof. dr Weissa (z lewej)

polskiego górnika w Belgii zostanie potraktowany tak jak wszystkie dzieci w Polsce. Będzie leczony bezpłatnie. Dano mu także bilet lotniczy.

Kiedy samolot przyleciał na lotnisko, na Waldka czekały „białe fartuchy” — służba medyczna lotniska Okęcie — i karetka pogotowia. Sprowadzony po schodkach przez stewardesę chłopiec wysiadł z samolotu i jako pierwszy pasażer stanął na polskiej ziemi. Nie było żadnych formalności. Tylko rzut oka na paszport — urzędnicy wyszli specjalnie na płytę, aby chłopiec nie musiał wychodzić z karetki.

W Konstancinie odbyło się krótkie badanie. Profesor Weiss obiecuje: „Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale potrzebna jest operacja. Jutro wyjeżdżam do Belgii. Będę rozmawiał z Twoim ojcem, przyjeżdź do Brukseli.” (h)



HONORY DLA ŻEGLARZA

Leonid Teliga czuje się lepiej. Mógł wstać ze szpitalnego łóżka, by wziąć udział w „swojej” uroczystości. Został zaproszony do Belwederu, gdzie przewodniczący Rady Państwa wręczył mu Krzyż Komandorski „Polonia Restituta”. W ceremonii i przyjęciu na cześć wytrwałego żeglarza trzech oceanów wzięli udział liczni dostojnicy państwowi. Marian Sychalski, wręczając b. wysokie polskie odznaczenie, podkreślił wartość wychowawczą wyczynu, przykładu silnej woli i charakteru kpt. Teligi — dla współczesnego pokolenia polskiej młodzieży. Wyraził także nadzieję, że jako żeglarz i dziennikarz — Leonid Teliga będzie mógł przekazywać jej swoje doświadczenie.

Poza tym kpt. L. Teliga otrzymał od ministra żeglugi „Złotą odznakę zasłużonego pracownika morza”, a także medal „Zasłużonego mistrza sportu” (żeglarskiego oczywiście) i medal „Za wybitne osiągnięcia sportowe”. Od ministra żeglugi PRL i Związku Zawodowego Marynarzy dostał żeglarz praktyczny prezent: nowiutkiego „Fiat 125 P”, który chyba przyda się na lądzie.

LISTY DO REDAKCJI

MOJE UWAGI
I PROPOZYCJE

Pragnę podzielić się moimi spostrzeżeniami i uwagami na temat „Tygodnika Polskiego”. Ponieważ jest to pismo bardzo ciekawe i poczytne, wydaje mi się, że warto by przeznaczyć trochę miejsca na „kącik dla najmłod-

OBCHODY 25-LECIA
POLSKI LUDOWEJ
W TROYES

W niedzielę, 6 lipca o godzinie 15 w Teatrze Miejskim w Troyes odbędą się staraniem Towarzystwa Pomocy Oświatowej obchody 25-lecia Polski Ludowej z udziałem przedstawicieli Konsulatu Generalnego PRL w Paryżu oraz przedstawicieli Prefektury i Merostwa. W programie — przemówienia okolicznościowe, odczyt na temat tej ważnej dla Polaków rocznicy oraz część artystyczna, w której wystąpią artyści polscy przebywający czasowo w Paryżu oraz znany zespół Towarzystwa Pomocy Oświatowej.

Podczas tej uroczystości przedstawiciel Konsulatu Generalnego PRL w Paryżu wręczy zasłużonemu w pracy społecznej członkowi Towarzystwa Medale Kościuszkowskie. Warto zaznaczyć, że taki medal otrzymał na początku bieżącego roku przez Towarzystwa Pomocy Oświatowej p. Mieczysław Proch.

Zarząd Towarzystwa Pomocy Oświatowej czyni starania, by w dniu uroczystości mogła odbyć się w gmachu teatralnym równocześnie wystawa tkanin znanej polskiej artystki Natalii Piontek. O wystawie tej wiadomienie ukaże się w trzech dziennikach francuskich w Troyes.

Zarząd Towarzystwa Pomocy Oświatowej serdecznie zaprasza wszystkie rodziny polskie z Troyes i okolic na uroczystość. Wstęp wolny.

szych”, to znaczy dla dzieci. od lat czterech do dziesięciu, w którym dziecko znalazłoby ilustrowaną bajeczkę, krótkie opowiadanie. Wszyscy na ogół stwierdzamy, że dziecko, gdy zaczyna chodzić do szkoły, z łatwością posługuje się językiem francuskim, natomiast ma trudności z językiem polskim. Może by więc „Tygodnik Polski” dopomógł tym dzieciom poprzez atrakcyjne zainteresowanie ich krótkimi tekstami polskimi. Swego czasu istniał już w „Tygodniku Polskim” kącik dla dzieci, ale go zlikwidowano. Może był on dla tych najmłodszych za trudny?

Druga moja uwaga dotyczy Wielkiego Konkursu „Tygodnika Polskiego”, organizowanego od lat na Nowy Rok. Konkurs ten jest na pewno pożyteczny, powiększa on grono Czytelników, ale niestety duchowo ich nie wzbogaca. Proponuję więc, by do tego konkursu włączyć na przyszłość pewne pytania, na które uczestnik konkursu musi odpowiedzieć.

Zasyłam Redakcji moc pozdrowień i życzę owocnych wyników w pracy.

Stała Czytelniczka
HELENA ADAMUS
Bruay-en-Artois (62)

Odpowiedź Redakcji: Serdecznie dziękujemy za list i uwagi. Od września postaramy się publikować w kąciku dla najmłodszych krótkie i ciekawe teksty dla dzieci. Prosimy o nadesłanie nam po pewnym czasie swych uwag. Nad innowacją WIELKIEGO KONKURSU „Tygodnika Polskiego”, który organizujemy co roku, zastanowimy się i postaramy się zmienić trochę jego charakter.

la boutique polonaise

25, rue Drouot
PARIS 9^e

téléphone: 770-83-37
c.c.p. Paris: 189.46.68

poleca następujące książki po cenach najniższych:

Antologia poezji francuskiej — Jerzy Lisowski — 636 str. w płóciennym oprawie dużego formatu	26,25
Człowiek — praca zbiorowa — pod redakcją Kazimierza Krysiaka i Kazimierza Ostrowskiego. 904 str. dużego formatu, w płóciennym oprawie	35,30
Historia Kultury Francuskiej — Georges Duby i Robert Mandrou. 776 str. dużego formatu, w płóciennym oprawie	39,25
Mały Słownik języka polskiego — pod redakcją Stanisława Skorupki, H. Auderskiej i Z. Lempickiej. Wyd. PWN 1968. 1034 str. dużego formatu, w płóciennym oprawie	88,85
Poradnik dla rodziców — pod redakcją Bolesława Milewicz. 336 str. dużego formatu w płóciennym oprawie	28,50
Słownik frazeologiczny języka polskiego — Stanisława Skorupki. 788 stron i 906 str. 2 tomy w płóciennym oprawie — dużego formatu	84,70
POLOGNE — en français — Autoguide Delta	13,00
POLOGNE — éd. Hachette — Guide Bleu	35,00
POLSKA — przewodnik turystyczny — w języku polskim	7,90
„Comment le dire en polonais” — Platkow Antoni	6,00
„Rozmówki francuskie” — Platkow Antoni	6,00

Do cen powyższych doliczamy koszty przesyłki pocztowej. Stale posiadamy na składzie: a) Mapę drogową Polski; b) Mapę campingów w Polsce; c) Mapy województw; d) Plany miast. Posiadamy też duży wybór płyt nagranych w Polsce i we Francji. Zamówienia listowne wykonujemy odwrotną pocztą.

Le dernier numéro de „France - Pologne“

Le numéro de printemps de „France-Pologne“ vient de paraître. Ce numéro s'ouvre sur un éditorial de Maurice Bouvier-Ajam, directeur de l'Institut de Droit appliqué et président-délégué de l'Association „France-Pologne“. Maurice Bouvier-Ajam enregistre un synchronisme: tout comme la Pologne Populaire, l'association „France-Pologne“ a vingt-cinq ans. „La Pologne moderne a vingt-cinq ans — écrit-il nativement. — Son enthousiaste jeunesse s'appuie sur l'expérience d'un

millénaire, récemment fêté, de vie nationale aux destinées changeantes. Mais d'un millénaire d'amitié sans tache avec notre pays. Elle a surgi, la Pologne nouvelle, au lendemain des plus atroces mutilations qu'un peuple ait pu subir. Elle ne crie pas vengeance. Elle se souvient. Elle travaille. Elle veut vivre, sans cesse mieux vivre. Dans la paix“.

Ce numéro présente également des textes de Jan Zwierzyński, directeur

général des lignes aériennes „LOT“ („La Lot“ a 40 ans), et Włodzimierz Reczek, président du Comité des Sports et du Tourisme en Pologne („La Pologne vous invite“), des études de Jan Zygmunt Jakubowski, professeur à l'Université de Varsovie, et Jean Fabre, professeur à la Sorbonne, consacrées au grand dramaturge Stanisław Wyspiański, ainsi qu'un portrait du cinéaste Walerian Borowczyk par Catherine Léry.

WLADYSŁAW Bartoszewski jest człowiekiem doprawdy niecodziennym, jak i niezwykle są dzieje tego dziś niespełna 50-letniego mężczyzny. Okupacyjne zadanie, którego podjął się przed z górą ćwierć wiekiem stało się odtąd treścią jego życia, którą uparcie kontynuuje — choć w innej formie i zmienionych warunkach. Pisaliśmy o tym już wielokrotnie: jak powstała powołana przez Delegaturę Rządu w okupowanej Polsce Rada Pomocy Żydom, zwana kryptonimem „Żegota”, jak Władysław Bartoszewski był jednym z współzałożycieli tej placówki, a równocześnie w samej Delegaturze Rządu pełnił funkcję zastępcy kierownika referatu do spraw żydowskich.

To była jedna z najpiękniejszych kart w ruchu podziemnym okupowanej Europy, gdy jeden krwawo zwalczany naród — stawał w miarę swych sił i możliwości w ochronie tego straszliwie prześladowanego, gwałtowniej wyniszczanego. Dawny działacz akowskiej „Żegoty”, a jak twierdzą ludzie znający tamtą sprawę — „dusza tego przedsięwzięcia”, był człowiekiem działającym z najpiękniejszych pobudek ludzkich: solidarności wszystkich w walce ze złem. Jest Bartoszewski religijnym katolikiem. Ma równocześnie tytuł „sprawiedliwego między narodami świata”, nadany przez izraelski Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów „Jad-Waszem” w Jerozolimie. Ma Bartoszewski swoje drzewko w pamiątkowym gaju oliwkowym. Gdyby jednak każdemu Polakowi, który ratując Żydów w czasie okupacji — sam stracił życie, posadzić drzewko w tym gaju, powstałby spory, gęsty las na 6—7 hektarach, a gdyby każdemu Polakowi, który z narażeniem własnego życia chronił swoich żydowskich współobywateli przed hitlerowcami, sadzić tylko jedno drzewko, powstałby las na kilkudziesięciu hektarach, jeśli nie na kilkuset.

Ludzie w Kraju o tym wiedzą, ale być może często nie dostrzegają tego, iż na świecie są ludzie złej woli, którzy chcieliby przekreślić tę prawdę.

TA PRAWDA
PRZETRWA
DZIWNIE
KŁAMSTWA

Próbują to osiągnąć dla doraźnych celów politycznej rehabilitacji sprawców zbrodni ludobójstwa Żydów. No i Władysław Bartoszewski jest tym, który walczył kiedyś o prawdę i dobro, o swoje własne ideały — nie tylko pragnął dobra, lecz faktycznie czynił dobro. Teraz zaś stał się znakomitym kompetentnym znawcą tego problemu.

Ostatnio jego wielką książkę-dokument wydało londyńskie Earls Court Publications Limited. Na 834 stronach zawiera ona napisany przez Bartoszewskiego szkic historyczny „Po obu stronach muru”, czyli przedstawienie sytuacji, w jakich żyli zarówno Żydzi zamknięci pierścieniem murów getta, jak i Polacy znajdujący się pod krwawym terrorem hitlerowców. Książka pod ogólnym tytułem „Sprawiedliwi między narodami” zawiera relacje 200 ludzi żydowskiego pochodzenia uratowanych przez Polaków oraz 95 różnych dokumentów dotyczących tego zagadnienia.

Książka o dziejach walki Polaków ze zbrodnią ludobójstwa jest literaturą daleką od pogody, ale ma swój ciężar gatunkowy. Powstaje w mozolnych dokumentacjach historycznych o prawdzie. Taka prawda przetrwa lata, jak granit — wbrew różnym publicystom, którzy dla doraźnych, brudnych celów usiłują białe nazywać czarnym.

Sam Bartoszewski mówi o swej wielkiej pracy, wspólnej z p. Zofią Lewinową, że od 1946 r. „publikuje na łamach prasy polskiej i zagranicznej artykuły i przyczynki do dziejów stosunków polsko-żydowskich i martyrologii Żydów w okresie okupacji hitlerowskiej. Od 1966 r. moje przyczyn-

karskie studia, zbierane relacje ludzi niosących pomoc Żydom i relacje ludzi uratowanych, badania prowadzone w archiwach i instytucjach historycznych zaczęły się konkretyzować, układać w plan wydawnictwa książkowego. Po wielu latach pracy badawczej, redakcyjnej a potem zabiegów o jej wydanie, książka taka — przygotowana przy współudziale Zofii Lewinowej ukazała się ostatecznie na początku roku 1967 nakładem wydawnictwa „Znak” pod tytułem „Ten jest z ojczyzny mej”. Złożyły się na nią relacje i dokumenty o różnych formach i przejawach pomocy udzielanej Żydom przez Polaków w okresie okupacji hitlerowskiej, jak też pomocy udzielanej przez polskie organizacje podziemne walczącemu gettu warszawskiemu”.

Tyle Bartoszewski o sobie. Ciekawe są dalsze dzieje tej książki. Koło literackie AK w Londynie uchwalilo dla „Ten jest z ojczyzny mej” nagrodę za najlepszą w ogóle książkę z dziejów podziemnej walki z okupantem w Polsce. W. Bartoszewski otrzymał także nagrodę z fundacji Alfreda Jurekowskiego w USA.

To jednak nie koniec, bo dawny działacz podziemnej „Żegoty” przygotowuje w tej chwili rozszerzone wydanie w Kraju tej pozycji obejmujące 1200 stron druku, również nakładem „Znaku”, katolickiego wydawnictwa krajowego. Skróconą wersję, bo amerykański czytelnik nie wytrzymałby takiej objętości dokumentacyjnej, przygotowuje dla USA. Ukaże się także polskie wydanie obcojęzyczne oparte na tych samych materiałach.

Kto więc ma dobrą wolę, będzie miał możliwość zapoznania się z pełną prawdą, czy to wierząc samym faktom, czy moralnemu autorytetowi człowieka, którego zaszczycono zasadzeniem własnego drzewka w gaju sprawiedliwych pod Jerozolimą.

Oby w tej sprawie w całym świecie tylko prawdy ludzie słuchali, bo choć w dalekich perspektywach historii tylko prawda ma szansę przetrwania, to jednak dziś boli nas wszystkich, gdy słuchamy wrogich kłamstw i bzdur o naszym narodzie.

NIEZNANE DOKUMENTY Z POBYTU WŁADYSŁAWA REYMONTA W PARYŻU



50 lat temu po raz pierwszy we Francji zostało przetłumaczone na język francuski arcydzieło literatury polskiej pt. „Chłopi”. Pragniemy udostępnić naszym Czytelnikom dwa odkryte, nie publikowane dotąd nigdzie listy wielkiego polskiego pisarza, laureata Nagrody Nobla w 1924 r.

Listy te stanowią przypomnienie okresu pobytu twórcy „Chłopów” we Francji, a zwłaszcza w Paryżu, i dotyczą nie znanych lub zapomnianych prawie zupełnie kontaktów Władysława Reymonta z miejscową Polonią w latach 1909—1913.

KTO PIERWSZY PRZEŁOŻYŁ NA FRANCUJSKI „CHŁOPÓW”?

WŁADYSŁAW REYMONT napisał we Francji III tom „Chłopów”, o czym przed laty tak się wyraził, na pytanie zadane mu przez polskiego dziennikarza: dlaczego tu właśnie pisze, a nie w Polsce?

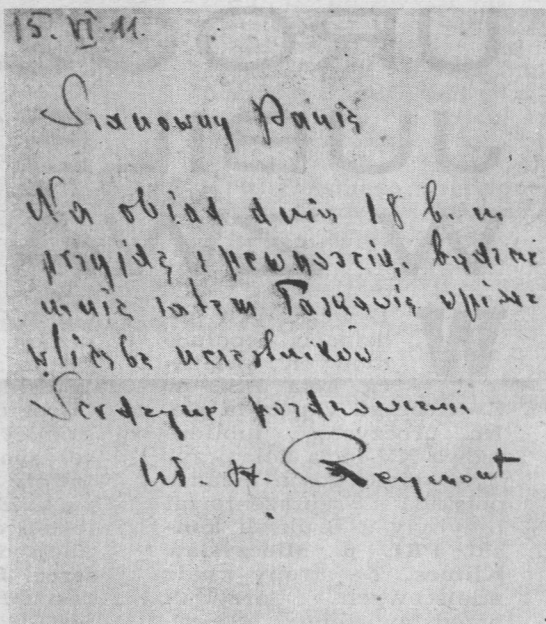
— W Polsce nie ma tej atmosfery, jaka tu panuje. Tu każdy coś robi. Życie dzieli się na godziny zawodowego zajęcia i wypoczynku. I jakoś łatwiej skupia się w sobie i łatwiej pisze... W Polsce przyjdzie od rana „przyjacieli” i będzie siedział godzinami. I cały rozpęd do pisania diabli biorą w ustawicznych dyskusjach, sporach, bajeczkach. A tu żyję jak chcę i nikt mi w tym nie przeszkadza.”

Jak bardzo ciekawe i twórcze były pobyty Władysława Reymonta we Francji świadczyło chociażby powodzenie wydanej i natychmiast wyczerpanej w Kraju książki, zawierającej 13 nie znanych listów Władysława Reymonta do Franck-Louis Schoella. Znany ten i ceniony popularyzator literatury polskiej we Francji i Szwajcarii uchodził za pierwszego tłumacza na język francuski Reymontowskich „Chłopów”. Z przedmowy do 13 listów wynika, że zainteresowanie Schoella twórczością Reymonta datuje się od 1915 r., gdy jako francuski oficer w niewoli niemieckiej po raz pierwszy zapoznał się z „Chłopami” w języku polskim. Wtedy to stwierdził: „Francuzi muszą poznać „Chłopów”.

Tłumaczenia na język francuski F. L. Schoell dokonał w 1919 r., lecz na tutejszym rynku księgarskim dzieło to ukazało się dopiero w... 1924 r. a więc w roku przyznania Reymontowi Nagrody Nobla.



Listy Wł. Reymonta znajdują się obecnie w archiwum pośmiertnym po Wacławie Gąsiorowskim w Warszawie, a pieczę nad ogromnym materiałem dokumentalnym z okresu pobytu Gąsiorowskiego we Francji sprawuje wdowa po autorze „Huraganu” — pani Asta Gąsiorowska, której zawdzięczamy udostępnienie nam nie znanej dotąd korespondencji



Oto fotokopie po raz pierwszy publikowanych, oryginalnych listów Wł. St. Reymonta. Obydwa listy — z 15 czerwca 1911 r. oraz z 23 stycznia 1912 r. autor „Chłopów”, laureat Nagrody Nobla, pisał do Wacława Gąsiorowskiego — sekretarza Towarzystwa Polskiego Literacko-Artystycznego w Paryżu

Czy jednak przekład Franck-Louis Schoella był pierwszy na terenie Francji? Okazuje się, że nie. Wypredził go aż o 14 lat inny przekład, o czym napiszę poniżej. Otóż w rocznikach francuskich pism literackich z początku naszego wieku znajduje się nazwisko publicysty francuskiego, ówczesnego znawcy literatury światowej, w tym także polskiej, Maurice Mureta. Krytyk ten i eseista w zbiorze szkiców literackich pt. „Les contemporains étrangers” zamieścił studium poświęcone twórczości Reymonta, a głównie jego „Chłopom”.

Maurice Muret na łamach „La Revue de Paris” na kilka lat przed ukazaniem się w druku wspomnianego studium zapoznał się z... pierwszym tłumaczeniem największego dzieła Reymonta. Dokonał on wówczas streszczenia „Chłopów” z przekładu Marie-Anne Bovet (pseudonim markizy Guy de Bois-Hérberi). Wówczas to, po zapoznaniu się w streszczeniu z dziełem Reymonta, Muret napisał:

„Mówią, że powieść jest epopeją nowożytną. To określenie nie stosuje się do wszystkich powieści, ale stosuje się cudownie do „Chłopów” p. W. Reymonta. Literatura dzisiejszych czasów mało liczy utworów, które, ze względu na poezję, jaka je ożywia, porównać by można z tą prozą... Pewien bezład, bezład słowiański, panuje w tej powieści burzliwej. „Chłopom” nie brak nawet ramy narodowej, która po wszystkie czasy stanowi cechę epopei. Prawdziwym bohaterem „Chłopów” nie jest ta lub inna osoba. Nie ma w tej książce osób wysuniętych na pierwszy plan. Wszystkie zacieraają się wobec zbiorowości. Ta zbiorowość wysunięta jest na pierwsze miejsce. Wiś sama jest prawdziwym bohaterem „Chłopów”.

Podziwiać należy genialność intuicji młodego krytyka, którego opinię o dziele Reymonta „poparła”, a właściwie potwierdziła w 14 lat później Akademia Królewska w Szwecji.

Jak doszło do pierwszego przekładu na język francuski „Chłopów”? Władysław Reymont 31 marca 1911 r. podpisał umowę z Marie-Anne Bovet, „przekazując jej wyłączną własność na obszar

Francji prawa przekładu jego powieści „Chłopi” zarówno w periodyku, jak i księgarniach”. Ciekawostką dla miłośników twórczości Reymonta stanowić powinien fakt, że tłumaczka pozwoliła sobie... na adaptację „Jesieni” (III tomu „Chłopów” Reymonta, skracając dwa tom y— z 730 do 60 stron!

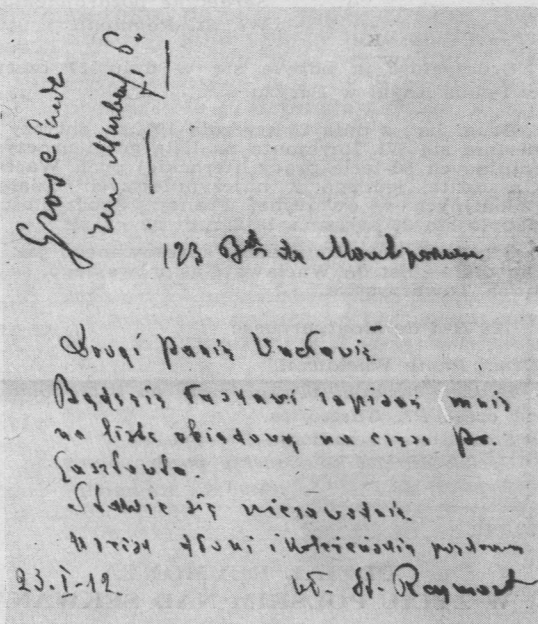
Mimo tego nieuczciwego wobec autora skrótu, przekład Marie-Anne Bovet zyskał we Francji duże powodzenie.

M. MURET I WŁ. REYMONT NAD SEKWANĄ

Czy twórca „Chłopów” znał osobiście Maurice Mureta?

Wspomniane przeze mnie na początku dokumenty dotyczące pobytu Reymonta we Francji mogą wskazywać, że Reymont zetknął się osobiście z Maurice Muretem. Kontakty takie miały zapewne miejsce na terenie powstałego w 1909 r. w Paryżu Comité Franco-Polonais. Muret był wiceprezesa tego Komitetu, w szeregach zaś tej organizacji działali tacy wybitni twórcy, jak znany rzeźbiarz, autor pomnika Mickiewicza w Paryżu Antoine Bourdelle, l'homme de lettre — Wacław Gąsiorowski, publicyści i społecznicy na rzecz polskiego Wychodźstwa: Władysław Strzembosz, Wacław Gąsiorowski, J. H. Rosny-aimé, znana malarka Olga Boznańska, oddany od młodości kulturze polskiej Paul Cazin i in.

Władysław Reymont żywo związany był z życiem kolonii polskiej nad Sekwaną. Świadczy o tym m.in. bankiet wydany przez Reymonta 12 maja 1909 r. Bankiet ten był pierwszą znaczącą uroczystością zorganizowaną przez Comité Franco-Polonais. Przybyli nań wszystkie znane wówczas



osobistości: przedstawiciele świata naukowego, artystycznego i literackiego Francji i przedstawiciele Polski. Nakreślono na tym spotkaniu projekt najbliższej działalności Komitetu, podzielono się uwagami o Wychodźstwie polskim rozrzuconym po różnych zakątkach Francji.

Podczas uroczystego spotkania doszło zapewne do zbliżenia Reymonta i Mureta już choćby poprzez wspólne zainteresowania. Oba spotkali się zapewne ponownie w szeregach działaczy utworzonego w rok później Towarzystwa Polskiego Literacko-Artystycznego w Paryżu.

Maurice Muret w owym czasie żywo interesował się sprawami dotyczącymi Polaków. Świadczy o tym m.in. uczestnictwo w obchodach grunwaldzkich, w 500 rocznicę zwycięstwa nad Krzyżakami. Uroczystości te zorganizowane zostały w Krakowie w lipcu 1910 r. Muret udał się tam wraz z delegacją polską, na czele której stał sekretarz Towarzystwa — Wacław Gąsiorowski. Muret pisał obszernie sprawozdania i komentarze z tych obchodów, zamieszczane m.in. na łamach czasopisma „Polonia” w Paryżu.

NIEZNANE LISTY WŁ. REYMONTA

Władysław Reymont w 1911 r. przyjęty został w poczet członków Towarzystwa Polskiego Literacko-Artystycznego w Paryżu. Brał on aktywny udział we wszystkich uroczystościach i obchodach organizowanych przez Towarzystwo, działające na rzecz przyjaznych stosunków francusko-polskich. Jak żywo interesował się wielki pisarz sprawami Towarzystwa świadczą dwa jego listy, po raz pierwszy właśnie ogłaszane obecnie drukiem.

NIEZNANE DOKUMENTY Z POBYTU WŁADYSŁAWA REYMONTA W PARYŻU

dokończenie ze str. 5

List pierwszy, z datą 15 czerwca 1911 r., zawiera prośbę Wł. Reymonta o wpisanie go na listę uczestników uroczystości przygotowywanej ku czci Adama Mickiewicza. Treść listu brzmi:

Szanowny Panie!

Na obiad dnia 18 bm. przyjdę z pewnością, bądźcie mnie zatem łaskawi wpisać w liczbę uczestników.

*Serdeczne pozdrowienia.
Wł. St. Reymont*

Uroczystość ta odbyła się w dniu 17 czerwca w Palais Royal w Paryżu.

Drugi list, z dnia 23 stycznia 1912 r., dotyczy zapisań się Wł. Reymonta na listę gości uroczystości fetujących 50-lecie pracy literackiej prof. Wacława Gasztofta, jednego z najczynniejszych działaczy polonijnych w ówczesnej Francji. Uroczystość ta odbyła się 28 stycznia 1912 r.

Oto treść listu Reymonta, adresowanego jak poprzedni — list do Wacława Gąsiorowskiego, sekretarza Towarzystwa.

123 B-d de Montparnasse

Drogi Panie Wacławie.

Bądźcie łaskawi zapisać mnie na listę obiadową na cześć Pr. Gasztofta.

Stawię się niezawodnie.

Uścisk dłoni i koleżeńskie pozdrowienia.

Wł. St. Reymont

23.I.12.

UDZIAŁ REYMONTA W ŻYCIU POLSKIM NAD SEKWANĄ

Dla uzupełnienia zaznaczyć należy, że organizowane przez Towarzystwo Polskie Artystyczno-Literackie tzw. obiady były wówczas jedną z podstawowych form nawiązywania bezpośrednich kontaktów członków Towarzystwa z przedstawicielami różnych środowisk polonijnego wychodźstwa. Były to pewnego rodzaju zebrania klubowe. Przybywało na nie i otrzymywało specjalne zaproszenia wiele pierwszorzędnych osobistości z francuskiego świata naukowego i kulturalnego. Udział w „obiadach”, wywodzących tradycje prawdopodobnie z „obiadów czwartkowych”, stanowił dla członków i zaproszonych gości niemałe wyróżnienie, a zarazem zbliżał ich do współrodaków i francuskich sympatyków Polski.

O zainteresowaniach Reymonta życiem i pracą współrodaków nad Sekwaną świadczy też jego podpis znajdujący się na liście-odezwie literatów i uczonych polskich w Paryżu, adresowanym do redaktora naczelnego „Kuriera Warszawskiego”. List ten z dnia 11 marca 1911 r. zaczynał się następująco:

„My niżej podpisani, członkowie Kolonii Polskiej w Paryżu... od kilku lat jesteśmy bezsilnymi świadkami istnego ształu poniewierania przez ogół Prasy Polskiej imienia Francji i Francuzów...”

Pod protestem tym podpisało się osobiście 25 Polaków, wybitnych przedstawicieli świata intelektualnego i artystycznego.

W wielu innych dokumentach i zapiskach pochodzących z archiwum Wacława Gąsiorowskiego, w którym znalazłam wspomniane listy, figuruje nazwisko Władysława Reymonta. Jego angażowanie się we wszystko co polskie na terenie Francji stanowić może przyczynek do bardziej wnikliwych badań nad tym okresem życia wielkiego pisarza, który we Francji znalazł sprzyjający klimat i życzliwość do swej jakże owocnej i bezcennej pracy pisarskiej.

Krystyna KOZŁOWSKA



Członkowie koła PSL z Zwartbergu, odznaczani Medalem Kościuszkowskim. Pośrodku: p. konsul Klimas (po prawej) wręcza p. prezesowi Stali gobelin przekazany kołu PSL przez Tow. „Polonia”

UROCZYSTOŚĆ JUBILEUSZOWA W ZWARTBERGU

WE wczesnych godzinach popołudniowych świetlica koła PSL w Zwartbergu zapełniła się. Na uroczystość jubileuszową XV-lecia koła przybyło wielu gości. Władze polskie reprezentował przybyły z Brukseli konsul PRL p. Mieczysław Klimas. Ze strony władz miejscowych przybyli przedstawiciele gminy, delegacja miejscowej kopalni i wielu innych sympatyków popularnej na tym terenie polonijnej organizacji. Uroczystość otworzył p. Bronisław Stala, długoletni prezes koła. Po powitaniu obecnych wygłosił on przemówienie okolicznościowe. W pierwszej jego części wskazał na bogate tradycje polskiego ruchu ludowego, na powiązanie z tym ruchem miejscowej organizacji.

— Jesteśmy ludowcami ukształtowanymi na tradycji polskiego ruchu ludowego, a szczególnie na dorobku jego przodującej części składowej, jaką była organizacja młodzieży wiejskiej „WICI” przed wojną i Bataliony Chłopskie w czasie wojny — wspominał mówca. — Nie jesteśmy daleko od prawdy, jeśli powiem, że program realizowany przez nas w dużej mierze pokrywa się z deklaracją ideową ruchu ludowego uchwaloną przez Zjednoczone Stronnictwo Ludowe w Kraju.

W końcowej części przemówienia p. prezes Stala

odczytał deklarację organizacji, dotyczącą stosunku do spraw niemieckich. W deklaracji tej czytamy: „Uregulowanie problemu granicy na Odrze i Nysie w sposób zapewniający trwałą pokój leży na sercu każdego Polaka, niezależnie od tego, w którym miejscu świata bije jego serce. Jedynym logicznym rozwiązaniem tej kwestii jest uznanie przez cały świat obydwu państw niemieckich i zawarcie z nimi trwałego traktatu, uznającego obecne wschodnie granice Niemiec za ostateczne”.

Zebrani z aplauzem przyjęli słowa deklaracji.

Po przemówieniu p. prezesa Stali głos zabrał p. konsul Klimas. Wspominał o ważnej roli działacza na emigracji, pozwalającej na utrzymanie polskości na obczyźnie. Organizacja PSL w Zwartbergu dobrze rozumie swoją rolę — stwierdził p. konsul Klimas. Należy jej życzyć dalszych osiągnięć w tym kierunku. Na zakończenie swego wystąpienia wręczył na ręce prezesa organizacji pięknie haftowany stylizowany pas słucki z godłem Polski i srebrną plaketką. Był to dar Towarzystwa Łączności z Zagranicą „Polonia”. Z kolei koło PSL wręczyło p. konsulowi Klimasowi symboliczną lampkę górniczą. Następnie najbardziej zasłużeni członkowie koła otrzymali pamiątkowe Medale Kościuszkowskie. Byli to: pp. Kinach, Piechota, Fraso-

łek, Zieliński, Smolarczyk i Baszak.

Z kolei odczytano gratulacyjne telegramy, które wpłynęły na jubileusz koła z różnych stron świata. Telegram gratulacyjny wpłynął od Ambasadora Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Brukseli p. Franciszka Modrzewskiego. Depeszę gratulacyjną przysłał też prezes postępowego Polskiego Stronnictwa Ludowego p. Stanisław Wójcik z USA. Wpłynęły telegramy z Wielkiej Brytanii, Francji i innych krajów. Nie zabrakło oczywiście licznych telegramów z Polski, a wśród nich znalazła się depesza gratulacyjna Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego z Warszawy, telegram Towarzystwa „Polonia” i inne.

Na zakończenie oficjalnej części uroczystości młodzież zespołu „Krakus” wręczyła prezesowi organizacji piękną statuetkę górnika — symbol środowiska, w którym młodzież się urodziła. Nastąpił jeszcze miły moment wręczenia przez organizację upominków p. Wandzie Stalowej, długoletniej kierownicze zespołu „Krakus”, oraz p. Eugeniuszowi Rogalskiemu — dyrygentowi zespołu.

Od tego momentu młodzież rozśpiewanego i roztańczonego „Krakusa” zawładnęła sceną niepodzielnie. Wielokrotnie już na łamach „Tygodnika” opisywano przebieg liczą-

15-LECIE LUDOWCÓW W BELGII



Na uroczystości jubileuszowej w Zwartbergu serdeczne przemówienie do zebranych wygłosił przybyły z Brukseli p. konsul Mieczysław Klimas (od prawej). Obok niego prezes koła PSL p. Bronisław Stala

P. prezes Stala wręcza p. konsulowi Klimasowi zebrane w czasie uroczystości 5.000 franków belg. na Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie



Członkowie zespołu „Krakus” wręczają na ręce prezesa koła PSL p. Stali piękną statuetkę górnika

nych występów tego najlepszego zespołu polonijnego w Belgii. I ten występ zaliczyć można do najlepszych koncertów niezawodnego „Krakusa”. Przybyłych gości zachwycał wysoki poziom zarówno pełnych werwy tańców, jak też uroczystych czterogłosowych pieśni chóralnych. Kiedy patrzyło się na wspaniałą scenę wokalnie-taneczną pt. „Na Krakowskim Rynku”, czy oglądało piękną „Wiązanekę Tańców Rzeszowskich”, lub też słuchało chóralnej wiązanki pt. „Kwiaty Polskie”, wydawało się, że to zawodowi artyści rozmiłowani w pięknie polskiego folkloru. Burzę zasłużonych oklasków zebrały występy p. Mariana Szczuki. W jego wykonaniu usłyszeliśmy między innymi prześliczny, a trudny technicznie fragment operetki polskiego kompozytora Świętochłowskiego pt. „Morze”, śpiewany z towarzyszeniem chóru męskiego, oraz dawną pieśń pt. „Bywaj dziewczę zdrowe”, wykonaną na tle chóru mieszanego. Wszystkie tańce przygotowała p. Wanda Stalowa, pieśni zaś opracował p. Eugeniusz Rogalski, akompaniowali: p. Zbigniew Strzemiecki i p. Jan Baszak. Uroczystość zakończyła się wspólnym toastem, wznieśionym przez p. konsula Klimasa i odśpiewaniem „Sto lat”.

(G)

HISTORIA powstania Polskiego Stronnictwa Ludowego w Zwartbergu (Limburgia) sięga roku 1950. Już od samego powstania koła niektórzy jego członkowie reprezentowali bardziej postępową, związaną z Krajem linię polityczną. Ten nurt postępowy doprowadził w roku 1954 do oderwania się koła od konserwatywnego kierownictwa PSL na emigracji, pozostającego w rękach Mikołajczyka. Koło PSL w Zwartbergu ogłosiło wówczas nowy, własny statut, w którym wytyczono nową linię działania. Podstawą ideową koła stała się praca oparta na ścisłej łączności z Polską. W związku z tym postanowiono wzmocnić przede wszystkim działalność kulturalno-oświatową oraz szeroko zakrojoną akcję społeczno-patriotyczną.

We wspomnianym roku 1954 ufundowano ze składek członkowskich sztandar koła. O aktywności organizacji już od owych lat — aż do chwili obecnej świadczą różne akcje społeczne podejmowane na rzecz Polski. Warto tu wspomnieć o akcji pomocy ofiarom powodzi, która nawiedziła Kraj w roku 1955. Wówczas to przesłano do Polski ciężarówkę wyładowaną odzieżą. Na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża koło ofiarowało kilkadziesiąt kilogramów cennych leków. W następnych latach ludowcy ze Zwartbergu przekazali Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie żywy dar w postaci prosiąt najwyższej klasy europejskiej. W kilku stacjach hodowlanych w Polsce można dziś spotkać licznych potomków owej żywej przesyłki. W roku 1957, dzięki ofiarności swych członków, koło zakupiło kompletną aparaturę rentgenologiczną z myślą o przekazaniu jej jednej z kopalń w Polsce. Wartość pieniężna aparatury wynosiła bardzo wysoką, jak na owe lata, sumę 120 tysięcy franków belgijskich. Aparaturę rentgenologiczną otrzymał gabinet lekarski kopalni „Pstrowski” w Zabrze. W ramach akcji Budowy Szkół Tysiąclecia Państwa Polskiego koło PSL w Zwartbergu przekazało w sumie kwotę przekraczającą 45 tysięcy franków belgijskich. Również w zbiorce na Polski Fundusz Olimpijski koło przodowało, przekazując

do Kraju kwotę ponad 25 tysięcy franków belgijskich.

Na budowę Centrum Zdrowia Dziecka członkowie koła zebrali już ponad 17 tys. franków belgijskich. Nie sposób tu wliczyć wszystkich akcji społecznych, w których członkowie koła PSL brali żywy udział. Siedzibą koła PSL w Zwartbergu jest świetlica, którą początkowo wynajmowano, a od kilku lat zakupiono na własność. Ziemia, na której stoi świetlica, jest również od niedawna, dzięki ofiarności członków, własnością koła. O ziemi tej mówią z dumą członkowie koła, że jest ona małym terytorium Polski na obczyźnie. Koło PSL prowadzi bogate życie świetlicowe w tym lokalu. Każda ważna rocznica narodowa obchodzona jest uroczysto. Z inicjatywy koła założono w roku 1959 zespół pieśni i tańca „Krakus”. Od chwili powstania aż do dnia dzisiejszego zespół ten korzysta z szeroko pojętej pomocy koła PSL, wyrażającej się nie tylko pomocą materialną, lecz serdeczną opieką moralną. Między innymi właśnie dzięki tym czynnikom zespół „Krakus” stoi dziś na czele polonijnych zespołów w Belgii.

Dziś, z perspektywy 15 lat, można śmiało powiedzieć o szczerze patriotycznej postawie członków koła, o szeroko pojętej więzi z Ojczyzną. Sukcesy koła byłyby niemożliwe bez ofiarnej pracy jego członków. Na czoło wysuwa się tu niewątpliwie prezes koła p. Bronisław Stala, który od założenia koła jest jego najbardziej aktywnym członkiem i motorem wszelkich poczynań. Społecznik z urodzenia, patriota z przekonania, p. Stala umiał sobie zaskarbić głębokie zaufanie środowiska. O zaufaniu tym świadczy choćby fakt wybrania go po raz 14 prezesem koła! Z innych aktywnych najstarszych członków koła wymienimy: p. Pawła Kinacha, długoletniego skarbnika, a zarazem zapalonego fotoreportera, p. Zielińskiego — sekretarza organizacji, p. Bronisława Piechotę, wyróżniającego się patriotycznym wychowaniem swoich dzieci, p. Teofila Smolarczyka, długoletniego opiekuna, a zarazem członka zespołu „Krakus”, młodego p. Jana Frasołka, obecnego wiceprezesa koła i wielu innych.

W dniu jubileuszu XV-lecia Polskiego Stronnictwa Ludowego w Zwartbergu jego członkowie podsumowali swoje naprawdę znakomite osiągnięcia. Jubileusz to tym cenniejszy, iż połączony jest z obchodami 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ze świętem Ojczyzny, z którą ludowcy ze Zwartbergu byli zawsze związani, i której pozostaną wierni.

Fragment występu zespołu „Krakus”. Scena z widowiska „Na Krakowskim Rynku”





Aleksander Grobicki

Aleksander Grobicki, pisarz i podróżnik, b. uczestnik sławnych bitew II wojny światowej, m. in. walczący pod Monte Cassino, jest autorem barwnych reportaży z Gujany Brytyjskiej. Ile wrażeń doznał w krainie diamentów i aligatorów, jakie egzotyczne ziemie zwiedzał i obyczaje ludzkie zaobserwował — czytamy poniżej.

(Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone)

Diamenty i aligatory

SPRZEDAJEMY DIAMENTY

Płyniemy z powrotem do Aruwai Top. Po kilku tygodniach spędzonych w obozach pork-knockerów, na ich pontonach, na wodzie i pod wodą, po kilku tygodniach „sam na sam” z diamentami i aligatorami. Kazik, Bob i ja. Wychudli, zczerniali, zaroińci. Jutro na rzece koło bodegi lądować ma amfibia¹⁾, by zabrać nas z powrotem do Kamarangu, do cywilizacji (jakakolwiek ona jest), bez której całkiem dobrze żyło się nam nad Mazaruni.

Zapusiłem bródkę, która swędzi i domaga się zgolenia, ale się uparłem, że ją jako trofeum do Kanady przywiozę. Mam kilka czigerów²⁾ pod skórą, które trzeba będzie zrecznie nożem wyluskać. Mam wilczy apetyt na stek i zimne piwo. I mam temat do książki — co najważniejsze. Natomiast Kazik coraz bardziej dusi się i kaszle. Tropikalna astma zjada go żywcem. Przysięga, że tym razem na pewno już pójdzie do szpitala na badania — ale w to nie wierzę. Pójdzie — ale na wódkę. Bob natomiast milczy, jest markotny i boi się. Oczywiście Jurka. Wie co go czeka. Golas wysłał go na pontony, by na nich jako nurek pracował, a nie w Kamarangu się obijał.

— Człowieku (powiedział mu wczoraj Kazik). Robisz jak chcesz. Pamiętaj tylko, że Jurek nie lubi, gdy mu ktoś nawala. Żadne tłumaczenie nie pomaga. Wykreśla z ewidencji i koniec.

— Kiedy ja sam nie mogę tutaj zostać (płacze Bob). Zabijaj mnie! Pan, panie Kazik powie Jurkowi, wytłumaczy... Pan, panie Olek wstawi się za mną...

Zal mi go. Właściwie to nie wiem czy Bob istotnie aż tak boi się o swoje życie, czy narósł w nim kompleks na tle „morderców”, czy też po prostu, tak najbardziej po ludzku jest zmęczony. Też dusi go astma. Pod wodą, jak zauważyłem, nigdy pełnej godziny nie potrafi wysiedzieć. Niewiele diamentów wygrzebał — nie dali mi — tłumaczy). Ma już 42 lata, a to w tym fachu, w tym klimacie wiele znaczy. Zal mi go i wiem, że nie mu nie pomogę. „Słazok” Jurek, diamentowy kupiec nad Mazaruni, ludzi mierzy innymi wymiarami niż ja, warszawiak, waga-bunda, gryziółek. Moje wstawiennictwo za Bobem mogłoby mu tylko zaszkodzić.

Na dziobie łodzi stoi Walker i rękoma daje znaki, gdzie wymijać podwodne głazy lub w którym miejscu przeskakiwać rapidy. Holujemy za sobą dwie łodzie, w których po kilku pork-knockerów z załogi Walkera i China. Płyną sprzedać czterotygodniowy plon połowu diamentów, ugasić pragnienie, zabawić się i poplotkować. Regularnie, co cztery tygodnie to robią. Zdążają niczym na odpust lub jarmark, tyle że pozbawiony kobiet — bowiem kawowa żona Walkera, czarna żona Davida i Indianka, żona Dawidowego pomocnika nie liczą się ani jako pleć, ani jako towarzystwo.

Z radosnym hałasem przybijamy do Aruwai Top. Jossue macha dziurawym kapeluszem i krzywi wykrzywioną gębę. „Colorado” popija już z imaginacyjnej butelki. Gęsiego drapiemy się na górkę. Na progu bodegi³⁾ wita nas gruby David. Szeroki uśmiech na tłustej, czarnej twarzy. Miast chleba i soli — butelki wódki ustawione na

drewnianej ladzie. — Witajcie! Bawcie się! Pijcie! Business nie ucieknie!

Piją więc. Czarni „V 69” (wiski), Brazylijczycy „XM” (rum), my (tzn. Kazik, Bob i ja) i jedno i drugie z jednym i drugim. Post był zbyt długi, by teraz przebierać. Zresztą — jak odmówić, gdy rumem częstuje Walker, a „król diamentów” Jossue podskakuje z pekatą butelką wiskacza?

Piją, jedzą, lulki palą. Ktoś dorwał się do puszek z kompotami, ktoś inny łyka śledzie. Witamin zgłodnieli, rwą z drzewa brązowe i włochate „monkey fruits”, jedyne chyba jadalne owoce w dżungli rosnące. China wypróżnia drugą butelkę. Carbon zajada się wiedeńskimi parówkami. Bob łyka marynowane ostryki. Kazik ogórki. Ja ananasy. Nikomu w głowie świńskie ogonki i mrożony „kariboo”⁴⁾.

Rośnie krzyk, śmiech, beładna gadanina. Młoda Indianka obfitą pierśią karmiąca nagiego bobasa schowała się już do szałasów za bodegą. Walkerowa na krok nie odstępowała męża. Tylko stara, jak mumia egipska zasuszona żona Davida, w żółtej babuszcze na głowie i w obwisłej „misjonarskiej” sukni, która i tak nie ma czego zakrywać — dwój się i troi. Klepie pork-knockerów⁵⁾ po plecach i udach, puszkę i butelki podsuwa. A David zaciera tłuste dłonie. Gdy wreszcie (po godzinie lub dwóch) stwierdził, że podkład do businessu został odpowiednio przygotowany (lub może podlany?), w otwartej szopie przed bodegą rozkłada swoje narzędzia pracy. Arkusz białego papieru, jubilerską wagę, blaszki i ciężarki przy niej, lupę, notes i zaostrzony ołówek. Jest gotów. Pork-knockerzy też.

Pierwszy za stołem zasiada Walker z grupą swoich nurków. Z woreczka wyciąga plastikowe rurki pełne diamentów i zaczyna się targ. W środku dżungli, nad Mazaruni, pod słomianym daszkiem na drewnianych ławkach, o sto metrów od rzeki pełnej aligatorów (i diamentów) odbywają się transakcje nie gorsze niż w zacisznych gabinetach. Pół nady, kutlasami pokiereszowani, przez mrówki, czigers i inne świństwa pogryzieni, na pół już pijani, różnokolorowi pork-knockerzy, w zniszczonych pracą dłoniach przeczuczą kamuszkę, błyskotki — których pozazdrościłby im niejedyn kapitalista, nie mówiąc już o kobietach.

Diamenty!

David zgrabnie dzieli je na kilka kupek. „Rejects” czyli zrzutki. To te najmniejsze. Jak główki od szpilek lub jakieś niezgrabne, bez połysku. Pójdą na przemiał. Będą służyć do polerowania najtwardszych stali. Niewiele są warte. Za jeden ich karat David płaci nie więcej niż pięć dolarów. Z kolei „industrials” — to te przemysłowe. Też jeszcze małe, ale już lepszej kategorii, błyszczące jak gwiazdki, diamentowe „iskierki”. Te pójdą do zegarków, do precyzyjnych instrumentów lotniczych, do przemysłu jak ich sama nazwa wskazuje. I cena już oczywiście wyższa. Za karat dolarów 15. Trzecia kupka to „commercials”, diamenty handlowe, ale jeszcze małe, od ćwierć do trzech czwartych karata. Tych nie waży się jeszcze pojedynczo, chyba że któryś wyjątkowo piękny kształtem lub, co rzadko, różowy. Cena ich już w granicach dolarów 50 za karat. Na koniec śmietanka. Pojedynczo oglądane,

ważone, szacowane, osobno w notesie zapisywane i z rewerencją osobno układane na białym papierze — gwiazdki i gwiazdory wydobyte z aluwialnego dna Mazaruni. Diamenty, które po obróbce ozdobią witryny sklepów jubilerskich a potem pleć i bez nich nieraz piękną.

Karat, dwa karaty, cztery, czasem sześć. O kształtach rokujących, że przy szlifowaniu straci się nie więcej jak 40 do 45% wagi. Pokryte zielonkawą „skórką” lub od razu błyszczące jak gwiazdy. Białe, niebieskie, różowe...

Właśnie David sięgnął po jeden. Zważył i do notesu, pod nazwiskiem Rodriguez zapisał: „6 karatów — \$ 450”.

...Byłem na pontonie, gdy Rodriguez wysłał z dna rzeki ten worek żwiru. Poprzednie zawierały tylko „industrials”, wiedzieliśmy więc (na pontonie), że w żadnej dziurze nie grzebie. Po omacku tylko na dnie rzeki szuka. Worek wysypano na rzeszoto. W pierwszym pozostały tylko kamienie. W drugim gęstszym też nic ciekawego nie było widać i przesiwacz chciał już opróżnić go do stojącej obok pontonu łódki, gdy nagle zastygł w pół ruchu. Nad rzeszotem się pochylił. Pochyliłem się i ja. Między kamuszkami coś błysnęło. Jak żywe srebro. Przesiwacz sięgnął i ujął w palce kamuszek wielkości paznokcia. Położył mi go na dłoń. W tym dopiero momencie zdałem sobie sprawę z uczucia, które pędzi ludzi do dżungli, na dna rzek, z narażeniem zdrowia i życia — po to tylko, by takie właśnie kamuszki znajdować. Diament ująłem w dwa palce i zrozumiłem, dlaczego kobiety tak się w nich kochają.

W trzecim rzeszocie błyszczwały jeszcze cztery jedno lub dwukaratowe gwiazdki. W następnym worku znowu nic ciekawego nie było. Rodriguez po prostu miał szczęście. Jak sam potem opowiadał, żwir do tego diamentowego worka zgarnął — ot tak sobie — bezmyślnie niemal z dna rzeki.

Walker kolejno opróżnia rurki nurków. David diamenty ogląda, dzieli je na kupki, czasem lekceważącym ruchem odrzuca kamuszek poza diamentowe koło. Przyplątał się jakiś „sweet-boy” czyli diament frajerów. Zwykły kryształ, na pierwszy rzut oka, szczególnie zaraz po wyjęciu z wody, do złudzenia przypominający prawdziwy diament. Natomiast nazwa jego jest jak najbardziej prawdziwa. Pork-knocker idący na kilka miesięcy w busz zwykle zostawia w domu żonę. Samej nudzi się biedaczce. Znajduje więc sobie chłopaka. Oczywiście młodego (tych zawsze w bród). Ubiera go. Karmi. Jest w tym czasie jej mężczyzną. Ale nie tym prawdziwym, czyli mężem. Nazywa się więc „sweet-boy”, bowiem wygląda jak „diament”, ale diamentem nie jest. I dlatego nazwa ta z życia rodzinnego przeniesiona została na pola diamentowe.

(Po powrocie do Georgetown, gdy nosiłem już „bush-hat”, byłem spalony słońcem na ciemny brąz, a bródka przestała być tylko chwilową fantazją — jednym słowem, wyglądałem już przynajmniej z pozorów na przybyłego właśnie z interioru pork-knockera — kilkakrotnie zaczepiano mnie na ulicy lub w barze pytając, czy nie mam na sprzedaż „sweet-boyów”. Pytający tylko kolorem skóry różni się od podobnych im „spekulantów” w Toronto, Londynie czy Warszawie. Skupowane przez nich za grosze „sweet-boye” odstępowane były następnie „okazyjnie” oczywiście i ma się rozumieć za nie liche dolary międzynarodowej braci turystycznej coraz liczniej włóczącej się po Indiach Zachodnich, Morzu Karaibskim i trafiających nawet do Gujany. Jako „autentyczne” diamenty (choć może niezbyt uczciwie zdobyte, więc dlatego tańsze od rynkowych).

Zapusiłem bródkę

- 1) Samolot mogący lądować zarówno na ziemi, jak i na wodzie.
- 2) czigers — podskórna wesz.
- 3) bodega — sklep, skład.
- 4) „kariboo” — mrożone mięso kanadyjskie.
- 5) „pork-knocker” — popularna nazwa gujańskich poszukiwaczy złota i diamentów.

W następnym numerze
c.d. **SPRZEDAJEMY DIAMENTY**

REDAKTOR MIARKA I HUTNIK LIGOŃ

STULECIE CHORZOWSKIEGO „KASYNA”

MIESIĄCU czerwcu br. przypada ważna rocznica w dziejach polskości na Śląsku — setna rocznica powstania zasłużonego towarzystwa polskiego „Kasyno” w Chorzowie (wówczas zwanym urzędowo „Koenigshuette”). Miasto to zostało utworzone jako gmina miejska z dniem 1 maja 1869 roku z ilością niespełna 15 tysięcy mieszkańców, wśród których była już spora liczba Niemców z głębi Prus (zwłaszcza urzędników i możnych kupców).

Pierwsza organizacja: polskich górników

Jest rzeczą znamienią, że pierwsze w ogóle towarzystwo, które powstało w murach tego miasta — to właśnie towarzystwo polskie, którego członkowie rekrutowali się wyłącznie z elementu miejscowego — polskich górników i hutników oraz garstki rzemieślników i drobnych kupców. Tak się pomyślnie składało, że na gruncie chorzowskim działało wówczas dwóch wybitnych patriotów polskich — Karol Miarka, wydawca i redaktor „Katolika” oraz Juliusz Ligoń, kowal-hutnik i samouk poeta ludowy. Prezesem towarzystwa został wybrany Miarka, sekretarzem — Ligoń.

„Kasyno” urzędująco regularnie posiedzenia, na których wygłaszało referaty i odczyty na temat polskiej historii i kultury oraz bieżących spraw publicznych. Odbywały się zabawy towarzyskie i amatorskie przedstawienia teatralne. Popularne sztuki teatralne tworzyli Miarka i Ligoń.

Na te przedstawienia amatorskie podążała ludność polska nawet z odległych zakątków Górnego Śląska. Już w pierwszym roku istnienia towarzystwa — podczas „Zielonych Świąt” w 1870 roku — odbyła się z inicjatywy „Kasyna” pierwsza zbiorowa wycieczka Ślązaków do Krakowa i Wieliczki w celu poznania historycznych zabytków narodowych; za przykładem „Kasyna” urządzano potem rokrocznie takie masowe wycieczki do „Mekki narodowej”, jaką wówczas był Kraków dla ludności polskiej zaboru pruskiego.

Piękny rozwój: sól w oku Prusaków

Niewątpliwie w ówczesnych warunkach politycznych i społecznych na Górnym Śląsku był to najskuteczniejszy program pracy nad utrwaleniem polskości i rozbudzeniem polskiej świadomości narodowej wśród śląskich mas ludowych. O popularności i powodzeniu „Kasyna” na gruncie chorzowskim świadczył wymownie fakt, że towarzystwo to już wnet po założeniu liczyło 250 członków, w miesiącu styczniu 1870 roku wzrosło do blisko 500 członków, a już w połowie 1871 roku liczyło ich ponad 700. Wszechstronna praca „Kasyna” promieniowała na bliższą i dalszą okolicę, gdzie w oparciu o wzory chorzowskie powstawały w tych latach podobne towarzystwa polskie — zresztą również pod nazwą „Kasyno” — w Bytomiu, Siemianowicach, Mysłowicach, Żorach, Pszczynie i Mikołowie.

Oczywiście — ta wysoce pożyteczna dla ugruntowania polskości działalność „Kasyna” była solą w oku władz pruskich, które bacznie obserwowały jego pracę. Hakatyści nie mogli nijak pojąć, jak to ważyli się oświecać lud i zaszczepiać mu polską świadomość narodową biedny redaktor Miarka i prosty hutnik Ligoń! Okazja do bezpardonowej nagonki przeciwko tym działaczom i towarzystwu „Kasyno” nadarzyła się w połowie 1871 roku, kiedy to miasto Chorzów stało się widownią masowego strajku i poważnych rozruchów ulicznych (26—27 czerwca). Dopiero kilkakrotne szarże sprowadzonych z Gliwic ułanów przywróciły „porządek”, a w więzieniu osadzono 136 uczestników zajść, z których 117 postawiono w stan oskarżenia.

Strajk i trudności: przemawia Bismarck

Była to dla hakatystów upragniona sposobność do prowokacyjnych oskarżeń wobec polskiego „Kasyna” i jego prezesa Miarki.

Już nazajutrz po wybuchu strajku wychodzący w mieście „Koenigshuetter Stadtbote” pisał:

„Podburzeni przez wychodzącą tu pod redakcją Karola Miarki gazetę polską i terroryzowani przez niektórych sfanatyzowanych górników, nawet i robotnicy usposobienia umiarkowanego wstrzymali się od pracy...”

Zarzuty te podchwyciła z miejscy prasa nacjonalistyczna w całej Rzeszy. Oskarżenia opierano na przypadkowym fakcie, że na krótko przed tymi wydarzeniami Miarka napisał i wydał drukiem broszurę pt. „Przyjaciel robotników”, w której stwierdził m. in. że strajk trzeba uważać za legalną broń robotnika w walce o poprawę bytu i poza tym na ten sam temat wygłosił odczyt na zebraniu członków „Kasyna” w Chorzowie.

Na tej podstawie sam „żelazny kanclerz” Bismarck w przemówieniu na posiedzeniu parlamentu pruskiego w dniu 9 lutego 1872 roku wystąpił przeciwko Miarce; przytoczył różne wyrwane z kontekstu cytaty, stwierdzając, że pisano i mówiono tak w mieście, gdzie miały miejsce radykalne rozruchy; stąd więc — jego zdaniem — można wnioskować o

sprawcach tych wypadków, by w końcu oskarżyć Miarkę z trybuny parlamentarnej, że:

„Miarka postawił sobie za cel utworzyć partię polską na dotąd zawsze wiernym Górnym Śląsku, co mu się istotnie udało”.

Trwało aż po wrzesień...

W tych warunkach, aby uchronić towarzystwo i kilkuset jego członków przed represjami władz, przystąpiono do samolikwidacji „Kasyna”. Była to jednak likwidacja pozorna, polegająca na zmianie nazwy „Kasyno” na „Kółko” i na zmianie składu zarządu towarzystwa. Do „nowego” towarzystwa należeli jednak „stary” członkowie; Juliusz Ligoń pozostał w zarządzie, a Karol Miarka nadal zasiadał działalność towarzystwa referatami. Kiedy w latach późniejszych „Kółko” dostało się pod centrowe wpływy klerykalne, grupa niezadowolonych członków na przełomie XIX/XX wieku założyła na nowo towarzystwo „Kasyno”, które przetrwało do chwili wybuchu drugiej wojny światowej w 1939 roku.

Ze wspomnień kuriera wywiadu

PRZEZ WŁOCHY DO WALCZĄCEJ BARCELONY

HISTORIA ta żywo przypomina fabułę sensacyjnego filmu. Wojna w Hiszpanii. Wywiad Niemców walczących po stronie gen. Franco przechwycił szyfr, którym posługiwało się republikańskie radio w otoczonym Madrycie. Republikańskie jeszcze o tym nie wiedzą. W tej sytuacji półlegalny Międzynarodowy Komitet Pomocy Hiszpanii Republikańskiej z siedzibą w Szwajcarii wysłał specjalnego kuriera z nowym kluczem do szyfru, który musi być dostarczony w ciągu niespełna półtorej doby sztabowi republikańskiemu. Właśnie po upływie tego czasu — o północy — Radio Madryt ma nadać złamanym przez Niemców szyfrem ważne komunikaty i rozkazy. Misję powierzono przebywającemu w Szwajcarii Polakowi, Bogdanowi Ruthcie.

— Dlaczego wybór padł właśnie na pana?

— Może dlatego, że znałem dobrze język niemiecki i z urody bardzo przypominałem Niemca. Miałem do Hiszpanii jechać przez Włochy, a tam Niemcy cieszyli się wówczas nietykalnością. Ponadto zdobyłem zaufanie republikańców, przekazując im pewne istotne informacje o niektórych zamierzonych akcjach niemieckich sił wojskowych w Hiszpanii, które udało mi się wyciągnąć w trybie towarzyskim od 19-letniej córki hitlerowskiego ministra III Rzeszy Funka, przebywającej w tym samym co ja sanatorium w Davos.

— Jakim szlakiem wiodła droga do Hiszpanii?

— Do Rzymu pojechałem „Mercedesem”... słynnego hitlerowskiego chirurga Sauerbrucha, który często przyjeżdżał do Szwajcarii, wzywany do ciężkich operacji. Jego szofer był na usługach republikańców. Jechaliśmy do Rzymu w pełnej gali — z proporczykami z „hackenkreuzem”, zatkniętymi po obu stronach samochodu.

— A potem?

— Zanim odpowiem, muszę dodać, że niemal przez cały czas podróży — aż do chwili opuszczenia Włoch — deptałem mi po piętach agent hitlerowskiego wywiadu, w którym z największym zdziwieniem rozpoznałem... dawnego instruktora polskiej kadry narciarskiej Roehrla. Wracam do pytania: z Włoch przedostałem się bardzo szybko drogą morską do Francji — w pobliże wschodnich Pirenejów. Tu przydzielono mi 3 przewodników. Teraz miałem się przedostać do Barcelony, będącej w rękach republikańskich.

— A czas naglił...

— Właśnie. Przygody i perypetie, które mnie czekały, mogły opóźnić misję lub wręcz ją zniweczyć. Spojrzałem śmierci w oczy, gdy tuż nad granicą hiszpańską, w górach, przebrani za mnichów wpadliśmy w pułapkę niemieckiego wywiadu. Mnie udało się umknąć, ale moi trzej przewodnicy zostali schwytani.

— Czy jednak dotarł pan szczęśliwie do pozycji republikańskich?

— Tak. Ale to jeszcze nie oznaczało spełnienia misji, bo... republikańskie wzięli mnie za szpiega! Tylko cudem udało mi się uciec. Zgodnie z wyraźnym rozkazem szyfru należało przekazać sztabowi w Barcelonie.

— W jakiej postaci przemycił pan ów szyfr?

— Zapisany na bibułce do papierosów... Klucz szyfru opracowano według francusko-angielskiego słownika Langenscheita oraz wydanej w owym czasie publikacji o pobycie angielskiej pary królewskiej w Paryżu.

— A więc uciekł pan republikańcom...

— Dalszą drogę odbyłem samolotem. Przelatywaliśmy nad linią frontu nad rzeką Ebro. Panował akurat spokój, ale już w godzinę później, gdy dolatywaliśmy do Barcelony, nieopodal lądowiska rozgorzała walka z nacierającymi Marokańczykami i oddziałami Legii Cudzoziemskiej. W Barcelonie wylądowałem na niespełna 20 minut przed północą. Z kwatery republikańców przekazano natychmiast rozkaz do radia Madryt, żeby się nie posługiwało dotychczasowym szyfrem. Jednocześnie przekazano nowy klucz. Moja misja została uwieńczona powodzeniem.

— Historia związana z pana wyprawą do Barcelony stała się kanwą opowieści, która ma się ukazać w wydaniu książkowym.

— Książka jest już w druku i ukaże się nakładem Czytelnika pt. „Misja o północy”.

Dodajmy, że Bogdan Rutha, pisarz i eseista, mieszka stale w Poznaniu.

● Duże ożywienie kontaktów polsko-czechosłowackich

Na linii Warszawa-Praga działo się w ostatnich tygodniach bardzo wiele. Serię kontaktów zapoczątkowała wizyta nowego I sekretarza KC KPCz Husaka, a w ślad za nią dalsze. W pierwszej połowie czerwca odwiedził Czechosłowację premier Józef Cyrankiewicz, składając wizyty prezydentowi Swobodzie i premierowi Czernikowi, który zapowiedział wizytę w Polsce. Głównym tematem rozmów, jak wynika z licznych doniesień, były problemy współpracy gospodarczej. To także było przyczyną wizyty delegacji gospodarczej CSRS w Polsce, która bawiła w połowie czerwca br. pod przewodnictwem wicepremiera rządu CSRS S. Faltana. Goście po obradach, w czasie których uczestniczyli także przedstawiciele najwyższych organów planowania gospodarczego obu krajów, zwiedzili Międzynarodowe Targi Poznańskie. Duże zainteresowanie, obok sprzętu inwestycyjnego z Polski, budziły wśród czechosłowackich gości towary przemysłowe masowego użytku. Wśród róż-

nych wypowiedzi prasy czechosłowackiej kładziono nacisk na to, że pomyślne wyniki rozmów powinny doprowadzić do tego, że Czechosłowacja winna wysunąć się na jednego z pierwszych partnerów polskich w wymianie zagranicznej.

Po wizycie premiera Cyrankiewicza w podpisanym komunikacie w Pradze podkreślono pełną zgodność poglądów na sprawy międzynarodowe, a szczególnie z ostatnim wystąpieniem polskim w sprawie uregulowania spraw z NRF. Szef polskiego rządu w wywiadzie dla „Rudego Prawa” podkreślił konieczność dalszego zacieśnienia współpracy gospodarczej i „nowoczesnego podziału pracy między obu krajami”.

● Pracownicy z wyższym wykształceniem

Spis kadrowy GUS z roku 1968 wykazał, że na ogólną liczbę 405 tys. pracowników z wyższym wykształceniem 276 tys. pracowników posiada tytuły zawodowe — magistra, lekarza lub równorzędne. Z liczby 276 tys. pracowników 75 tys., tj. 27 proc., tej grupy, posiadało zawody wyuczone z grupy zawodów technicznych, 22 tys., tj. 8 proc. objętych było grupą zawodów rolnych, 27 tys. tj. 10 proc. ogółu posiadało zawody wyuczone zaliczane do grupy nauk ścisłych, 56 tys. osób tj. 20 proc. objętych było grupą zawodów służby zdrowia, 58 tys. osób tj. 21 proc. ogółu posiadało zawody z grupy zawodów humanistycznych, oraz 28 tys. osób tj. 10 proc. z grupy zawodów ekonomicznych. Na ogólną liczbę 108 tys. pełnozatrudnionych kobiet w gospodarce uspołecznionej z tytułem magistra, lekarza lub równorzędnym 37 proc. ogółu kobiet zatrudniał dział oświata, nauka i kultura, 27 proc. ochrona zdrowia, opieka społeczna i kultura fizyczna, 10 proc. kobiet zatrudniał przemysł a 8 proc. kobiet pracowało w obrocie towarowym.



● Polska ma już 32,5 miliona mieszkańców

Jak wynika z opracowań Głównego Urzędu Statystycznego, w dniu 31 marca br. Polska liczyła 32.483 tys. mieszkańców. Udział ludności zamieszkałej w miastach wynosi obecnie 51,3 proc. W dalszym ciągu jednak utrzymuje się stosunkowo słaba dynamika przyrostu naturalnego. Wzrost ludności odbywa się głównie wskutek spadku wskaźnika zgonów. Przypadkowo rok temu wskaźnik zgonów niemowląt wynosił 38 na 1000 żywych urodzeń, a w tym samym czasie 1969 r. wskaźnik spadł do 35 na 1000 żywych urodzeń. Jest to zjawisko pozytywne, lecz demografowie przewidują nie-

korzystną linię rozwojową ludności i już teraz zachęcają do stworzenia bodźców dla wielodzietności. W polskiej prasie m. in. „Trybunie Ludu”, centralnym organie partyjnym, znalazły się głosy w dyskusji sugerujące istotne zwiększenie dodatków dla wielodzietnych rodzin oraz wielu istotnych a dodatkowych świadczeń typu socjalnego. Dyskutancki z „Życia Warszawy”, wielkiego dziennika stołecznego, twierdzą — że w chwili obecnej istnieje zbyt wielka dysproporcja stopy życiowej rodziny trzyosobowej w stosunku do pięcio- i więcej osobowych. Decyzji jeszcze w tej sprawie nie podjęto.

● Wyszperano w Wenecji zamówienie króla Zygmunta Augusta

Specjaliści od najstarszych archiwów dawno przypuszczali, że w najstarszych szpargałach dołów weneckich powinno się znajdować zamówienie polskie sprzed 400 lat. Zymunt August, król polski, zwracał się do doży Piotra Lauredana, by pomógł mu w zbudowaniu okrętu, oczywiście odpłatnie. List królewski odnaleziony ostatnio w aktach weneckich skreślono na pergaminie po łacinie pięknym językiem urzędowym. Monarcha parafował pismo podpisem i wspaniałą królewską pieczęcią. List zaczyna się od słów: „Prześwietny Książę Panie Piotrze Lauredano, Władco Wenecjan. Nasz najdroższy Przyjacielu!” Pismo

zawiera prośbę do doży o zaangażowanie i wysłanie do Polski najlepszego weneckiego budowniczego okrętów. Doża sprawę załatwił i delegował znakomitego szutnika Zawiazello vel Sapioncellusa, który zbudował potem galeonę — pierwszy polski okręt morski.

● Nowa cukrownia w Tyńcu

Polscy specjaliści przystąpią wkrótce do rozruchu mechanicznego pierwszych urządzeń w wielkiej cukrowni budowanej w miejscowości Hrochuv—Tyneć w Czechosłowacji. Pozwoli to na rozpo-

● IX Festiwal Piosenki w Sopocie

Piosenkarze z 24 krajów zgłosili udział w tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, który odbędzie się w dniach 21—24 sierpnia. O nagrodę dnia pływającego „Grand Prix de Disques” — ubiegać się będą reprezentanci 22 wytwórni płyt. Napłynęły już liczne zgłoszenia od zagranicznych radiofonii i stacji telewizyjnych, które zamierzają korzystać z transmisji. W programie — ok. 140 utworów. Dotychczas zagraniczni piosenkarze otrzymali do wyboru ponad 90 piosenek polskich.

● Pożar kościoła pod Krakowem

Pod Krakowem w małej wsi Strumiany zapaliła się drewniana wieża wybudowanego po wojnie kościoła katolickiego. Duży wiatr rozwinął płomień na drewniane poszycie dachu i mimo że w ciągu niewielu minut przybyło kilka straży pożarnych, cały kościół spłonął. Uratowano tylko szaty liturgiczne i naczynia kościelne z zakrystii. Najprawdopodobniej pożar wybuchnął wskutek wady instalacji elektrycznej na wieży kościoła; ku tej wersji skłania się komisja badająca przyczynę wypadku.

Jednym ZDANIEM

● Na m/s „Orłowo” przywieziono do Portu Gdańskiego jacht „Opty”, na którym kpt. Leonid Teliga opłynął świat naokoło.

● W Krakowie odbył się festiwal filmów krótkometrażowych o Złote, Srebrne i Brązowe Lajkoniki.

● Bardzo uroczysto obchodzone 40-lecie pracy naukowej znanego socjologa prof. dr Józefa Chalasińskiego.

● Trwają przygotowania do obchodów 50-lecia Powstań Śląskich, które rozpoczną się 31 sierpnia br.

● Złotą Płytę przedsiębiorstwa Polskie Nagrania otrzymał ostatnio zespół „No To Co” — czołowa polska grupa skiflowa.

● W Warszawie obradowali miłośnicy historii stolicy, a historycy postulowali pogłębienie badań nad latami okupacji w największym polskim mieście.

● Ustalono, że w Krakowie dokona się przebudowy układu komunikacyjnego i zbuduje połączone centrum komunikacji kolejowej, autobusowej, usług pocztowych, odpraw lotniczą itd.

● IV Kongres Międzynarodowej Federacji Automatyki (IFAC) obradował w Warszawie przy udziale najwybitniejszych specjalistów światowych.

● Od lipca już tylko na przystani...

Od lipca transatlantyk „Batory” z którym wiąże się wyobraźnia morska Polaków, kończy służbę na morzu. Zostaje przekształcony na pływający hotel; będzie tam 500 miejsc noclegowych, 400 miejsc w restauracji, kino i wiele innych pożytecznych obiektów rozrywkowych. Przez półtora roku „Batory” będzie przycumowany w Gdyni, a następnie przeholowany do Gdańska, gdzie na Martwej Wiśle, przy drodze wodującej do Westerplatte będzie pełnił swą hotelową funkcję. Po 34 latach jednak trudno się rozstać z tym „lucky ship”...

Tygodniowa GAWEDA

▲ Bez zachwyty
▲ Niedyskretne pytanie

SZCZERZE mówiąc, decyzja, która zapadła kilka lat temu, że najbliższe letnie Igrzyska Olimpijskie odbędą się w zachodniomiejemskim mieście Monachium, nie wzbudziła w Polsce zachwyty. Przyczyny są jasne: ludzie w moim wieku pamiętają jeszcze Igrzyska Olimpijskie w Berlinie w roku 1936, wykorzystane przez ówczesnych hitlerowskich władców Niemiec dla propagandy nazistowskiej ideologii. Pamiętają na przykład, jak był postonowany wspaniały sprinter amerykański Jessie Owens, mistrz olimpijski w biegach na 100 i 200 m, w skoku w dal i uczestnik zwycięskiej sztafety 4 × 100 m, tylko dlatego, że miał odmienny kolor skóry, który nie podobał się wodzom III Rzeszy. Nieco młodszy ludzie pamiętają lata wojny i hitlerowskiej okupacji, co tu dużo gadać! Pamiętają, że tuż pod Monachium mieścił się najstarszy hitlerowski obóz koncentracyjny Dachau, w którym cierpiał i zginęło wielu, bardzo wielu Polaków.

A ci jeszcze młodszy, którzy o tamtych sprawach wiedzą tylko z książek, bądź z opowiadań ojców, dowiadują się dziesiąt, że w Monachium, tymże samym Monachium, gdzie ma się odbyć w roku 1972 kolejne święto olimpijskie, święto zbratania młodzieży z całego świata, odbywają się zjazdy rewizjonistycznych ziomkostw. Żąda się na nich rewizji granic, a o polskich ziemiach zachodnich mówi się jako o „zrabowanych Niemcom terenach”. Czytają ci najmłodszy w gazetach i słyszą w radiu oraz oglądają w telewizji wydarzenia związane z działalnością neohitlerowskiej partii NPD, która w Monachium, znów tymże samym Monachium właśnie, napada na zebrania antyfaszystów, bezczęści groby poległych wrogów reżimu hitlerowskiego. Nie trzeba się więc dziwić, że powierzenie organizacji Igrzysk Olimpijskich właśnie temu miastu nie wzbudziło entuzjazmu w Polsce.

Podczas konferencji prasowej, która odbyła się w dniach trwania obrad w Warszawie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, dziennikarze zadawali również wiele pytań przedstawicielom NRF. Tkwił w nich poważny niepokój, czy mianowicie Igrzysk Olimpijskich w Monachium nie zakłóca neofaszyści i odwetowcy oraz czy rzeczywiście będzie to święto porozumienia i pokoju między narodami? Przewodniczący niemieckiego komitetu olimpijskiego p. Willi Daume, jego zastępca p. Max Danz i burmistrz Monachium p. Hans-Hochen Vogel zapewniali polskich i zagranicznych dziennikarzy, że obawy takie są płonne.

Być może. Oby! Tylko czy na przykład p. Danz był rzeczywiście szczery? Wiadomo skądinąd, że jest on protektorem tzw. „igrzysk lekkoatletów z niemieckiego wschodu”, imprezy wyraźnie antypolskiej i rewizjonistycznej. Dla zwycięzców ufundował nagrodę: drewniany relief z mapą III Rzeszy z roku 1937 i prowokacyjnym napisem o „ojczyźnie 17 milionów wypędzonych Niemców”, oczywiście mając na myśli polskie i czechosłowackie tereny... Skąd co prawda wziął liczbę 17 milionów, nie wiadomo — bo takiej nie wymienił nawet ci odwetowcy niemieccy, którzy mieli bardzo, bardzo bujną wyobraźnię.

Są więc powody do niedowierzania. Nie sądzę zaś, by pytania polskich dziennikarzy działały dobrze na samopoczucie indagowanych. Mieli do tego zresztą także inny powód: decyzją MKOl, Niemiecka Republika Demokratyczna będzie występowała pod swą oficjalną nazwą, a nie jako „Niemcy Wschodnie”, o co walczyli polityko-sportowcy zachodniemieccy.

MARIAN

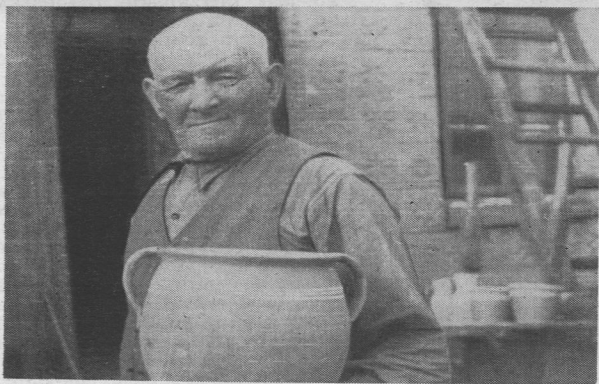
● Polska uznała

Polska jako jedno z pierwszych państw uznała Tymczasowy Rząd Rewolucyjny, który został powołany na terytorium wyzwolonym przez partyzantów południowowietnamskich. Przedstawicielstwo Narodowego Frontu Wyzwolenia, jakie istniało w Warszawie — przekształcone zostanie w placówkę mającą normalny status dyplomatyczny. Jak wiadomo, do chwili obecnej już uznało nowy rząd — ponad dwadzieścia państw.

● „Pątnów” — 1000 MW

Budowniczowie i energetycy drugiej co do wielkości w Kraju elektrowni „Pątnów” dokonali synchronizacji piętego z kolei bloku tej siłowni o mocy 200 MW. W „Pątnowie” po raz pierwszy w Polsce uruchomiono i zsynchronizowano blok energetyczny tak wielkiej mocy, wyprodukowany całkowicie przez przemysł krajowy.

Tu gdzie urodził się Kazimierz Wielki



80-letni Hipolit Plichtowicz jest garncarzem w Kowalu. Jego oryginalne prace można znaleźć w bardzo wielu muzeach w całej Polsce



Karol Mirowski jest „spokrewniony z Francją” poprzez babcię, która była autentyczną Francuzką i nauczyła wnuka swego ojczystego języka. Blanche Barry-Mirowska do dziś mieszka w Kowalu

KOWAL to niewielkie miasteczko leżące przy międzynarodowej trasie E-16, którą mieszkańcy nazywają szosą warszawską, jako że zdąża ku stolicy oddalanej o ponad 150 km.

Tu niegdyś koń książy zgiął podkowę, gdy orszak Jadwigi — żony Władysława Łokietka — przejeżdżał przez Kowal. Zatrzymano się więc, aby podkuć konia. Wtedy księżna Jadwiga powiła syna Kazimierza nazwanego później Wielkim.

Tyle mówi legenda, którą opowiedział nam Józef Czapowski — jeden z mistrzów kowadła zamieszkujących w dzisiejszym Kowalu. Z jego kuźni przy ul. Kołłątaja widać doskonale miejsce, w którym ponoć miały nastąpić narodziny przyszłego monarchy. Historia natomiast piórem Jana Długosza zanotowała ten fakt po datę 30 kwietnia 1310 roku.

Odwieczny rzeźbiarz dziejów — wpływający czas — zmienił niejedno, przekształcał ludzi i samo miasteczko.

HISTORIA POCHYLA SIĘ NAD KOWALEM

Ale spójrzmy jeszcze w przeszłość miasta, wywodzącego swą nazwę najprawdopodobniej od kowali licznie zamieszkujących ongiś podgrodzie. Hipotezę tę podtrzymuje mgr Klara Wojciechowska, miejscowa nauczycielka, która wyszperała mapę z XVI wieku z nazwą napisaną nieco z łacińska: Cowale.

Pierwsze wzmianki kronikarskie, dotyczące Kowala, pochodzą z XII i XIII wieku. Był to gród warowny — siedziba kasztelanów — leżący na niedostępnym ostrowie, czyli wyspie. Tyle mówi kronika miasteczka, pieczętowanie przechowywana przez Radę Miejską w Kowalu.

Gród ów położony był przy szlaku komunikacyjnym prowadzącym do Warszawy. Stąd istniało tu w przeszłości 7 gospód i zajazdów. Niektóre

z nich, jak karczmy o znamiennej nazwie „Ostatni Grosz” czy „Wygoda” — przetrwały do XIX w.

Wielkie koło historii nieraz przetoczyło się przez miasteczko. Dziś idąc ul. Zamkową, ani domyślamy się, że w tym miejscu jeszcze do XVIII wieku stał zamek średniowieczny, w którym Jagiello przyjmował posłów czeskich, zapraszających go do objęcia władzy w Czechach. A przedtem jeszcze przybył tu Waclaw — król czeski, dokonując podboju Kujaw. Kowal pamięta także rządy komturów krzyżackich w 1339 r.

GDZIE TEN NAPOLEON W POLSCE NIE KWATEROWAŁ

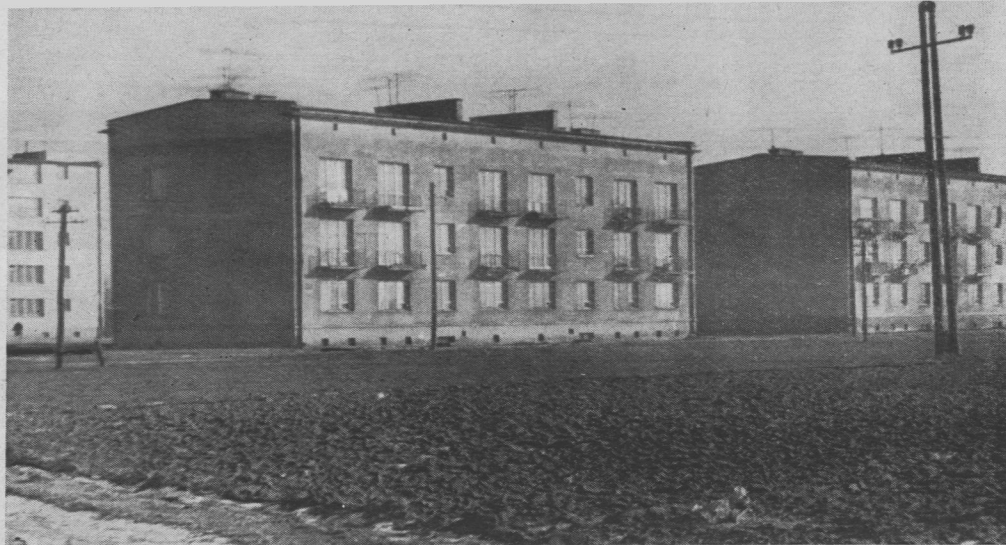
Powiew wielkich wydarzeń dotarł tu wraz z wojskami Napoleona. Ponoć kwaterował on w walącej się już dziś chałupie.

W przeszłości miasteczko tętniło bujnym życiem. Rzeczka Rakutówka, zwana dawniej Wiślanką, była spławna i łączyła Kowal z Wisłą, a także z Gnieznem przez Gopło. Gród był siedzibą starostwa i stanowił jeden ze znaczniejszych ośrodków kulturalnych na Kujawach.

Władysław Jagiellończyk nadał prawa miejscowym rzemieślnikom, co zapewne nie pozostało bez korzystnego wpływu na rozwój rzemiosła. Jeszcze w XIX wieku funkcjonowała tu garbarnia, farbiarnia, dwa zakłady rekodzielnicze produkujące płótno. Ponadto dla potrzeb miasteczka pracowało pięciu introligatorów oraz 150 innych zakładów rzemieślniczych, spośród których wiele należało do mistrzów kowadła.

KRONIKA WSPÓŁCZESNOŚCI

Miasteczko — jakich wiele. W miarę sennie w godzinach popołudniowych, w miarę ożywiające się z rana, gdy 3 i pół tysiąca mieszkańców rozpoczyna swój zwykły dzień, udając się do zakładów pracy lub na pola uprawne, których do miasta należy ok. 1000 ha.



Nowe osiedle w Kowalu. Nie tylko Kazimierz Wielki zostawił murowaną...

Z tego powodu Kowal określa się jako miasteczko o charakterze rolniczym. Do miejscowych rolników należy także 600 ha lasów. Jest to ponoć dar samego króla Kazimierza Wielkiego, który wielokrotnie potem miał odwiedzać miejsce swego urodzenia.

Uczeń miejscowego liceum ogólnokształcącego Karol Mirowski napisał współczesną kronikę miasteczka, którą ofiarował Radzie Miejskiej. W jego żyłach płynie krew francuska po babce — 76-letniej Blanche Barry-Mirowskiej, która do Polski przybyła jako młodziutka nauczycielka swego ojczystego języka. 16-letni wnuk również biegle włada francuskim. W swej kronice zanotował wszystkie osiągnięcia Kowala, obrazując prężny jego rozwój w okresie ostatnich dwudziestu kilku lat. Oto zbudowano „Stadion XX-lecia PRL” kosztem ponad miliona złotych, nowoczesną piekarnię, POM, lecznicę dla zwierząt, agronomówkę i wodociąg, który radykalnie poprawił zaopatrzenie miasteczka w wodę.

Kłopoty mieszkaniowe to problem nie tylko wielkich metropolii. I tutaj dają się one we znaki mieszkańcom. Aby złagodzić sytuację, Miejska Rada Narodowa zbudowała dla 93 rodzin mieszkania w pięciu nowoczesnych blokach. Ponadto wyrosło osiedle robotnicze domków jednorodzinnych typu własnościowego. Miasto dorobiło się własnego liceum ogólnokształcącego oraz przedszkola, które od roku mieści się w nowym budynku, pięknie usytuowanym w parku miejskim.

Gdy idzie się ulicą Kazimierza Wielkiego („rodaka z Kowala”) lub skręci w bok w Rejtana czy Kołłątaja, choć te uliczki nie poszerzyły się, jednak widać, że tu czas pracuje dla miastecz-

ka. Pojawiły się rteciowe punkty świetlne. Tu i ówdzie wyasfaltowano nawierzchnię jezdni. Przybyły nowoczesne pawilony handlowe. Modernizuje się całkowicie sklepy. Młodociany kronikarz skrupulatnie wyliczył, że do tychczasowa metamorfoza Kowala kosztowała blisko 28 milionów złotych.

NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ...

Garncarstwo zrosło się z tradycją miasta od dawna. Kwitło tu już w XVII wieku. 15 zdunów zamieszkiwało całą dzielnicę zwaną „Zduny”, której nazwa przetrwała do dziś. Niegdyś była tu także cegielnia, jako że okolica obfituje w bogate złoża gliny.

Paradoks chce, że obecnie w Kowalu nie ma nawet cegielni... Przy odwiertach ziemnych odkryto tu pokłady tzw. iłu poznańskiego grubości ok. 90 cm. Sprawą zainteresowali się specjaliści, a szczególnie dr Domański z Politechniki Gdańskiej — rodem z Kowala, który pobrał próbki złóż. Ekspertyza wykazała, że materiał nadaje się do produkcji keramzytów. Z rozmachem zaprojektowano więc nowoczesny zakład ceramiczny, którego koszt budowy oszacowano na 45 mln zł.

Produkować tu się będzie przede wszystkim keramzyty, materiały ściennie do urządzeń melioracyjnych, a może w przyszłości ołów — jak skrycie marzą co śmielsi rzeźnicy wszechstronnego rozwoju Kowala. To są zamierzenia. Może właśnie dzięki nim wielkie koło przemian poruszy miasteczko, stawiając przed nim wielką szansę?

Elżbieta DĘBCZYŃSKA-PLACIŃSKA

UWAGA!

UWAGA!

Dla Czytelników „TYGODNIKA POLSKIEGO”
w numerze z datą 20 lipca 1969
poświęconym XXV-leciu PRL

ZAMIEŚCIMY CIEKAWY KONKURS FOTOGRAFICZNY

BĘDZIE TO

„25 zdjęć na DZIEDZINIE DZIESIĄTOLECIA”

Wszystkie zdjęcia, które zamieścimy na dwu kolumnach, były już kiedyś publikowane w naszym piśmie. Dlatego uważni Czytelnicy „Tygodnika Polskiego” nie będą mieli dużych trudności z wyznaczeniem prawidłowej odpowiedzi wśród podpisów.

PAMIĘTAJCIE!

Już za dwa tygodnie ciekawy KONKURS Z NAGRODAMI

W „Tygodniku Polskim”

RATOWNICY NA ŚCIANIE



Akcja ratunkowa na ścianie małego Kościelca była szczególnie trudna, bo wypadkowi uległ nie tylko wspinacz — ale „jaskiniowiec”, w czasie wyprawy speleologicznej. Drużyna GOPR-u działała więc najprzód od środka góry, a później na sprowadzonym z Francji sprzęcie ratowniczym spuściła rannego po ścianie. Na lewym zdjęciu ratownik GOPR-u asekuje lódkę z rannym człowiekiem, na zdjęciu prawym — kolega przytrzymuje linę



▲ Tak wyposażeni ratownicy weszli do jaskini, w której często trzeba przedzierać się przez tzw. syfon. Ratownik górski musi i to też umieć

▼ To już zdjęcie z działalności „codziennej” GOPR — założenie opatrunku niefortunnemu narciarzowi, który w wysokich Tatrach szukał w maju śniegu

► Między białymi płatami — na noszach-saneczkach, a dalej na własnych ramionach będzie niosła rannego drużyna GOPR-u. Akcja niegroźna, jakich zimą codziennie kilka

FOT. R. DUTKIEWICZ

TATRY „odkrył” wprawdzie dla całej Polski dr Tytus Chałubiński przed stu laty, ale dzisiaj nawet wysokie góry stały się czymś, czego chcą zakosztować miliony turystów. Część z nich zadowolona się wyprawą autobusem pod Morskie Oko, a później kilkukilometrowym spacerkiem po stromej szosie; dla ochrony przyrody zakazano masowego wjazdu samochodów do samego centrum rezerwatu. Później przepływają łodzią górskie jezioro nazwane poetycko Morskie Oko i próbują się wdrapać po kamienistej, stromej ścieżce do Czarnego Stawu.

To jest tatrzańskie przedszkole. Na ogół nie ma tam wypadków poza zwichnięciem kostki, czasem złamaniem nogi lub potłuczeniem. Już jednak przy wycieczkach na szczyt Giewontu, chociaż trasa jest doskonale oznakowana, zdarzają się wypadki. Masowość i powszechność ruchu turystycznego, w istocie swojej będąca zdobyczą społeczną dwudziestopięcioletnia PRL, jest przyczyną nieszczęśliwych wypadków. Przyjeżdżają ludzie z dolin, z nizin, którzy nigdy w górach nie byli.

Dwóch warszawiaków, w czasie takiej dziewiczej wycieczki związków zawodowych autokarem, postanowiło wejść na Giewont. W jedną stronę szli za przewodnikiem, a wracając orzekli, że nie taki straszny diabeł, jak go malują i wybrali się „własną drogą”. Jeden spadł w przepaść 300-metrową, a drugi utknął na skalnej półce, no i musiała go stamtąd zdejmować drużyna GOPR-u.



KOŚCIELCA

Literki są skrótem Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, które powstało w 1909 r. z inicjatywy wspinałego polskiego kompozytora Mieczysława Karłowicza. Realizacji swego pomysłu Karłowicz nie doczekał: zimą 1909 r. lawina, która zesłała z Małego Kościelca, zabrała ze sobą życie kompozytora, miłośnika Tatr. Początkowo ratownicy nazywali się TOPR, czyli pogotowiem „tatrzańskim”, ale teraz pojęcie to rozszerzyło się na „góry w ogóle”.

Faktycznym założycielem i wieloletnim kierownikiem organizacyjnym był Mariusz Zaruski, człowiek bardzo ciekawy: kochał góry — a był równocześnie zapalonym żeglarzem morskim. Jednak chyba TOPR nie mógłby się rozwinąć bez takich wspaniałych górskich wspinaczy, odważnych, ofiarnych przewodników, jakim był Klimek Bachleda.

Tatry nie są wysokimi górami. Pod tym względem nie mogą się równać z Alpami. Jednak jeśli chodzi o trudne wspinaczki, emocji dla członków Klubu Wysokogórskiego, który jest organizacją polskich alpinistów (w Kraju nazywa się ich „taternikami”), nie brakuje. Nie jeden raz drużyny GOPR-u wyruszały na ratunek wytrawnych wspinaczy, którzy utknęli na jakimś skalnym ustępie, na wspinaczkę i za skoczeni zmianą pogody nie mogli posuwać się dalej. Następcy Klimka Bachledy wyruszają na ratunek i nie mogą się zaślaniać złymi warunkami atmosferycznymi. Najczęściej zdoby-

wają niskie „wierchy” i strome „ściany” właśnie w złych warunkach atmosferycznych.

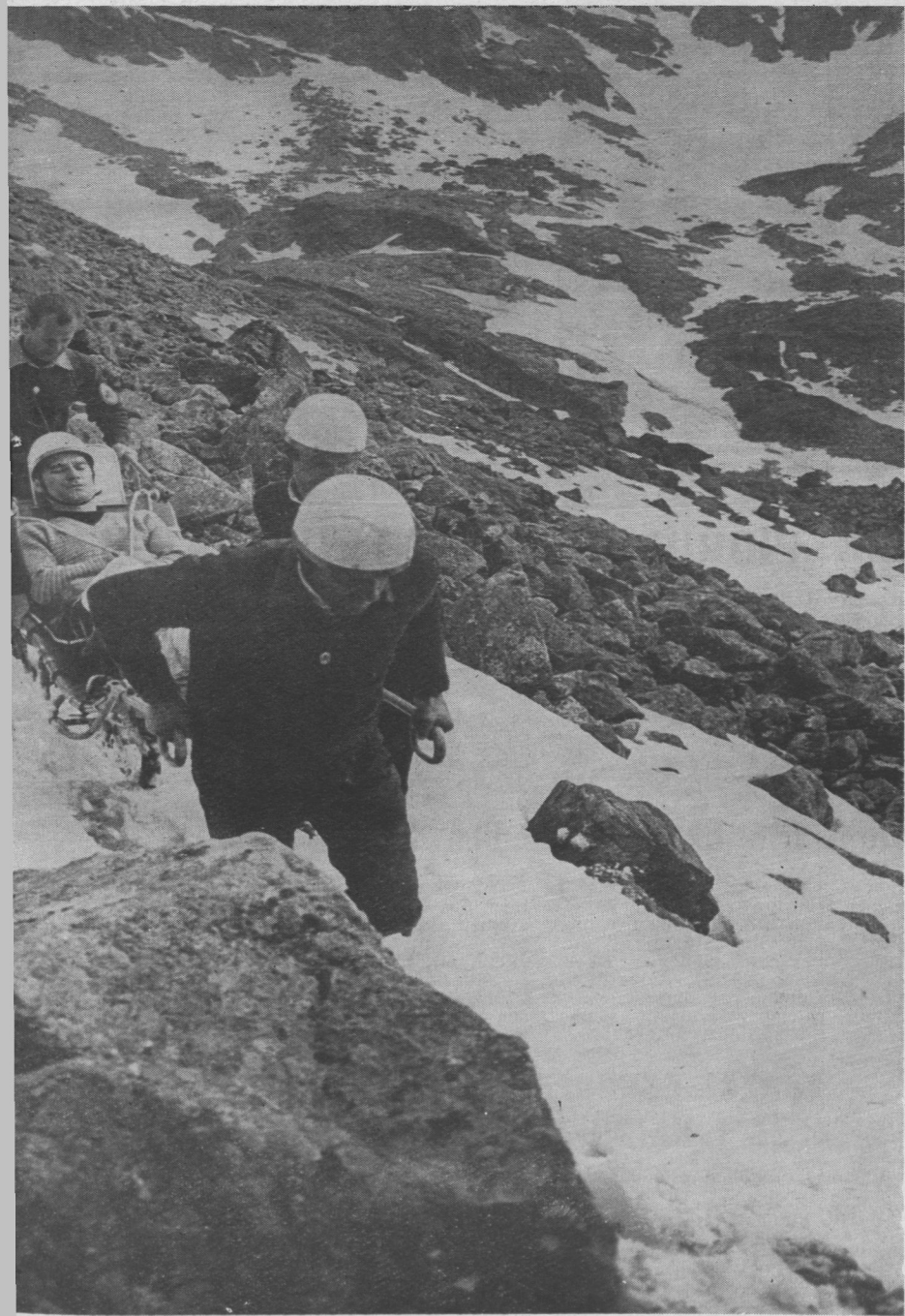
Chociaż dysponują bardzo nowoczesnym sprzętem, nie mają helikopterów, gdyż ostrość turni oraz poszarpane skalne zbocza nie pozwalają na ich stosowanie. Tam, gdzie szukają ryzyka „taternicy”, tam helikopter i tak nie mógłby wylądować ani dowieźć pomocy. Ratownik tatrzański to przede wszystkim sprawny człowiek, odważny, odpowiedzialny, solidarny z kolegami. Coś z frontowej postawy żołnierskiej tkwi w tym zespole ludzi, i to właśnie chwytą za serce, gdy czyta się raporty GOPR-u, często bardziej dramatyczne niż filmy z dreszczykiem pana Hitchcocka.

W tej chwili, obok dość licznych ochotników, GOPR zatrudnia także stałych ratowników, którzy zajmują się codziennymi sprawami, a więc zwożeniem rannych w czasie takiej zwykłej, nie specjalnie wyczynowej, sportowej turystyki, narciarzy z połamanyimi nogami. Dopiero gdy dzieje się coś w Wysokich Tatrach, tam w okolicach Morskiego Oka, na różnych szczytach, kominach, półkach, ścianach, turniach, wierchach — ogłasza się mobilizację zorganizowanych ochotników. Samochody zwożą ich w pobliże miejsca nieszczęśliwego wypadku, a później pieszo ruszają w góry: wytrawni, znający się na wspinaczkę, zahartowani w niebezpieczeństwie, pragnący nieść pomoc ludziom, którzy z samej sportowej ochoty pchali się na ryzykowne szlaki.



Inaczej się nie dało. Wysoki, ostry wierch, osłabły taternik. Otrzymał leki wzmacniające, potem usadowiono go razem z ratownikiem w mocnej chuście i spuszczone

A tak wygląda finał każdej akcji. Na dole czeka zwinny samochód terenowy GOPR-u z lekarzem i szybko odwozi pechowca do szpitala w Zakopanem



„HOMO 69” W LEGNICY

A gdy już na dobre zaczął się wielki ruch w Legnicy, wywołany odkryciem i eksploatacją kolejnego „polskiego złota” — tym razem miedzi, rzekli sobie legniczanie: jeśli imię naszego miasta jest znane w świecie gospodarczym, niechże pozna je i świat kultury.

INICJATYWA INŻYNIERA

Jednym z tych, którzy to powiedzieli był inżynier Mieczysław Pawełek. Kieruje on miejskim biurem projektów budowlanych. Ale poza tą robotą ma wielką pasję życiową: fotografię. A że przy tym należy do doskonałych organizatorów, od lat wybierany jest na stanowisko prezesa Legnickiego Fotoklubu, mającego swą siedzibę w Legnickim Domu Kultury w starym ratuszu, cacuszku barokowej, zabytkowej architektury. Miejska rada narodowa potrząsnęła kiesą, inżynier Pawełek i jego koledzy klubowii dołożyli potężną ilość społecznej pracy i tak powstała w roku 1967 ogólnopolska wystawa amatorskiej fotografii artystycznej „Człowiek 1967”.

Na początku ostrożnie nie nazywano jej międzynarodową, choć wzięli w niej udział także autorzy z sąsiednich krajów. Odniosła jednak ogromny sukces. Nadesłano kilka tysięcy zdjęć, przyznano piękne medale, bite oczywiście z polskiej, więc i legnickiej miedzi.

W ŚRODKU MIASTA

Największe wrażenie wywarł nowy sposób wystawiania fotografii. Zbudowano wielkie stelaże, zabezpieczone z obu stron szkłem, wkopano je w ziemię na samym skraju wielkiego pasa zielonych bulwarów, ulubionego miejsc spacerów legniczan. Wszystko się i tak w stelażach nie zmieściło, więc część wystawy była pod dachem w klubie pracowników gastronomii, pięknym nowoczesnym lokalu kawiarnianym.

NAGRODY DLA FRANCUZÓW I BELGÓW

W roku następnym ogłoszono konkurs jako międzynarodowy. Zdjęcia nadeszły z dziesiątków krajów, licząc je w porządku alfabetycznym — od Austrii do Związku Radzieckiego. Wystawiło też swe fotografie wielu autorów francuskich, z nich p. Daniel Barreau zdobył srebrny medal, a pp. Ernest Brule, R. Menard i J. P. Petit — wyróżnienia. Nie zabrakło i Belgów, z nich wyróżnili się szczególnie: pp. A. Etenaile i Jean Mascart, obaj nagrodzeni.

Aby zaś polskie słowo „człowiek” zrobić zrozumialszym, zmieniono je na łacińskie, więc międzynarodowe „homo”.

„Homo 69” w tym roku jest więc już trzecią wystawą pod tym samym hasłem. Po piątej, czyli w roku 1971



Wystawa fotograficzna na wolnym powietrzu: „Inicjatywa inżyniera Pawełka”



W barokowym ratuszu — nowoczesna rada narodowa „Inicjatywa międzynarodowej wystawy” — to jej zasługa

wyjdzie piękny album, zawierający reprodukcje wszystkich zdjęć wyróżnionych na wystawach legnickich w ciągu pięciolecia, w tym także tegorocznego francuskiego laureata brązowego medalu pana R. Menarda, uczestnika wystawy od samego początku oraz zdobywców tegorocznych dyplomów honorowych: z Francji p. Emile Delorme, z Belgii pp. Robert Piffert i Roger de Raad.

CZEMU BRAK PRZEDSTAWICIELI POLONII?

I tu nie mogę nie wypowiedzieć trąpiącej mnie myśli. Przecież nasza Polonia też fotografuje, nieraz w rubryce z życia różnych kolonii donosiliśmy o nagrodach zdobytych przez fotoamatorów polonijnych. W samej Francji jest kilkadziesiąt fotoklubów, w Belgii to także popularna rozrywka. A gdzież na wystawach takich choćby jak w Legnicy — nazwiska z naszej Polonii? Przecież nawet z Wysp Brytyjskich na każdą międzynarodową wystawę do Kraju wysyła fotografie całkiem spora garść doskonałych fotografów-amatorów, którzy zdobywają swoją sztuką zaszczytne nagrody, zaś w wywiadach dla prasy brytyjskiej podkreślają, że są „polish origin”, polskiego pochodzenia. I nazwiska noszą ci właśnie szczęśliwi laureaci krajowych medali za fotografię — w czystym, nie zniekształconym polskim brzmieniu. Ba, na ostatnim wielkim międzynarodowym salonie fotografii w Warszawie, w reprezentacji Wielkiej Brytanii było aż czterech Polaków i z dumą można było stwierdzić, że właśnie oni przystąpi do tego kraju najlepsze prace.

Kto więc z Czytelników chciałby wziąć udział w przyszłorocznym konkursie „Homo 70”, niech pisze po prostu o informację do pana inżyniera Mieczysława Pawełka pod adresem: Fotoklub w Legnicy, Stary Ratusz, Rynek. (JWG)

„ORLE PIÓRO” DLA CENTKIEWICZÓW

W dorocznym plebiscycie na najpopularniejszego autora książek dla młodzieży, czytelnicy „Piomyka” i „Świata Młodych” przyznali nagrodę „Orlego Pióra” — Alinie i Czesławowi Centkiewiczom. Na drugim i trzecim miejscu znalazły się nazwiska Arkadego Fiedlera i Adama Bahdaja.

Plebiscyt „Orlego Pióra” zainicjowany został przez „Naszą Księgarnię” i redakcję „Świata Młodych” w 1965

roku. Ogłaszany jest z początkiem lutego, rozstrzygany — w Dniach Oświaty Książki i Prasy. W tym roku napłynęło 7.249 odpowiedzi. W plebiscycie, oprócz „Naszej Księgarni”, uczestniczyło sześć wydawnictw: „Czytelnik”, Wydawnictwo Harcerskie, „Iskry”, MON, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i Państwowe Wydawnictwo „Śląsk”. Ufundowały one nagrody dla czytelników.

IMIĘ GRAŻYNY BACEWICZ — DLA SZKOŁY MUZYCZNEJ

Podczas obchodów 10-lecia istnienia Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Koszalinie nadano tej placówce imię niedawno zmarłej słynnej polskiej kompozytorki Grażyny Bacewicz. Uroczystość ta była końcowym akcentem jubileuszu szkoły, która z okazji swego rocznicy podjęła szereg prac artystyczno-społecznych realizo-

wanych już od początku br. Koncerty uczniów i absolwentów, audycje umuzykalniające dla innych szkół, koncerty wymienne z uczniami szkół muzycznych w Łodzi — stanowią wycinek codziennej pracy koszalińskiej szkoły, która kształcąca dwustopniowo blisko 300 uczniów wywiera duży wpływ na życie muzyczne swego terenu.

ŁÓDZKI OŚRODEK ONKOLOGICZNY NAJWIĘKSZY I NAJNOWOCZĘSZEJSZY W POLSCE

Łódzki Ośrodek Onkologiczny przekształca się w największą i najnowocześniejszą tego typu placówkę w Kraju. Szpital wzniesiony specjalnie dla potrzeb onkologii, zainicjacja przy nim poradnia onkologiczna przyjmująca w ciągu roku przeszło 5 tys. chorych. Zakończono już budowę pawilonu, w którym znajdzie pomieszczenie najnowocześniejsza aparatura do terapii kobaltowej i cezem. Budynek zaprojektowany przez

inż. Jerzego Wyżnikiewicza, jest doskonale rozwiązany i posiada m.in. specjalną rampę do wyładunku preparatów promieniotwórczych. W pawilonie rozpocznie się montaż dwóch urządzeń kobaltowych i jednego do leczenia cezem. Urządzenia kobaltowe są produkcji firmy „Siemens” z NRF oraz czechosłowackiej firmy „Chirana”. „Chirana” jest również producentem urządzenia cezowego, które — jako pierwsze w Polsce — otrzyma łódzki ośrodek.

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.
23, rue Taitbout, PARIS IX-ème



DES ECONOMIES D'IL Y A 500 ANS

Un habitant de Płońsk, ville de quelques dix mille âmes située au nord de Varsovie, avait décidé de construire une maison sur un terrain qui lui appartenait depuis longtemps. La décision prise, il fit venir des terrassiers et lui-même mit la main à la pâte ou plus exactement, à la pioche. En creusant la terre, il donna un coup de pioche sur une chose qu'il croyait être une grosse motte de glaise ou peut être un gros caillou. La chose se fendit et on vit apparaître une masse de pièces de monnaie. L'inventeur du trésor, puisque telle est la définition scientifique et juridique de celui qui fait la découverte d'une chose de valeur cachée sous terre ou ailleurs, l'inventeur donc avait ainsi mit la main sur les économies probablement d'un bourgeois polonais d'une époque éloignée qui croyait

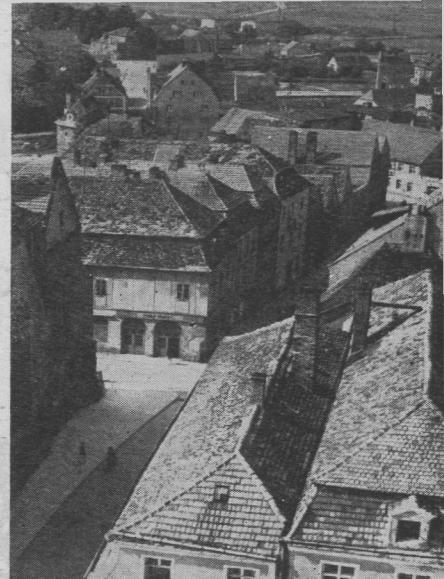
que sa tirelire serait un bon placement. Les pièces, au nombre de 2830 exactement, ont été envoyées à Varsovie où les spécialistes du Musée national ont procédé à leur analyse. Nous vous informons donc, Amis lecteurs, que les monnaies de Płońsk ne représentent pas une grande valeur matérielle, par contre, du point de vue historique, la découverte du trésor représente un événement. Toutes les pièces proviennent de la moitié du XV siècle, elles ont toutes été frappées par le Trésor des Chevaliers Teutoniques, une partie des pièces date de l'époque où le grand maître de l'Ordre des Chevaliers Teutoniques était Michel von Kirchmeister. On peut se demander comment les monnaies des Chevaliers à croix noire se sont trouvées en Mazovie. Les historiens donnent une réponse à

cette question — au XV-ème siècle la Mazovie, c'est-à-dire la région environnant Varsovie qui n'était pas encore la capitale ni même une grande cité, la Mazovie donc se trouvait sous la domination économique de l'Ordre des Chevaliers Teutoniques.

VIVE LE PLEIN AIR!

En été, la Pologne est pendant au moins trois mois (du début de juillet à la fin de septembre) un véritable paradis pour les amateurs de vacances en plein air. Nombreuses sont encore les régions, inconnues du grand public, où l'on peut passer des journées entières dans le silence, en respirant de larges bouffées d'air pur, en se baignant dans une eau limpide. Pour ceux de nos lecteurs ayant l'intention de passer leurs vacances en Po-

logne, nous trahissons le „secret” de ces véritables paradis. Il y a tout d'abord la région des lacs du nord de la Pologne (Mazurie et Kaszuby, notre photo a été prise dans cette dernière région) et puis, au sud, les monts des Bieszczady, réputés pour leurs bonnes routes, les paysages inoubliables et le silence profond des bois où vous pourrez faire une cueillette abondante de champignons, de myrtilles et d'autres fruits des bois.



EN BREF DE POLOGNE

● Un groupe d'ingénieurs et de travailleurs polonais s'est rendu en Inde où ils entreprendront la construction d'un canal long de plus de quarante kilomètres reliant Calcuta au Gange. Ce canal permettra l'approvisionnement en eau de la grande cité indienne.

● A partir du mois de juillet, l'ancien transatlantique polonais „Batory” sera retiré de la circulation. Mais il continuera à servir, cette fois-ci en tant qu' hôtel flottant à Gdynia.

● A l'occasion du salon de l'aviation, le général J. Raczkowski, commandant les forces aériennes polonaises, a effectué une visite en France. Il s'est entre autres rendu à Bordeaux et a été reçu par le ministre des forces armées P. Messmer.

● Le gouvernement de la République populaire de Pologne a reconnu le Gouvernement révolutionnaire provisoire de la république du Sud-Vietnam.

● Les entreprises de produits alimentaires „Pudliszki” ont été décorées de l'ordre de Pomiane. Cet ordre, décerné par les gastronomes polonais,

n'est donné qu'aux personnes et aux institutions ayant à leur compte certains succès dans le domaine de la gastronomie.

● Le plébiscite du grand quotidien du soir de Varsovie „Express Wieczorny” a permis d'établir une liste des six meilleurs sportifs polonais au cours des 25 ans de la Pologne populaire. Cette liste comprend les noms suivants: Jerzy Pawłowski (escrime), Waldemar Maszanowski (haltérophilie), Zdzisław Krzyszkowiak (athlétisme), Zbigniew Pietrzykowski (boxe), Elżbieta Krzesińska (athlétisme), Irena Kirszenstein-Szewińska (athlétisme).

● L'écrivain français Claude Simon a été reçu à Varsovie par l'Union des gens de lettres polonais. Claude Simon a tenu une conférence consacrée aux problèmes du roman contemporain.

● M. H. Rousselier, directeur du Centre national du commerce extérieur, s'est rendu en Pologne sur l'invitation de la Chambre polonaise du commerce extérieur. Au cours son voyage en Pologne, M. Rousselier a effectué une visite de la XXXVIII foire internationale de Poznań.

Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Młodzi polscy śmiałkowie Sobiesław Mrocki i Witold Grzymała wiele tygodni tułali się po gąszczach brazylijskiej puszczy, daremnie szukając schronienia u tubylców. Po wyczerpującym błądaniu, po wnikliwym poznaniu zwyczajów leśnych udało się im wreszcie napotkać plemię Indian. Przez 10 dni obserwowali bacznie zwyczaje czerwonoskórych, dzieląc z nimi codzienność w ich „toldo” — prymitywnych szałasach. Serdecznie przez nich pożegnani i odprowadzeni do najbliższego skupiska ludzkiego podjęli pracę wśród Metysów w małym miasteczku znajdującym się nad rzeką Parana. Znajdowała się tam fabryka konserw, które przewożono parowcami do stolicy Argentyny — Buenos Aires. Młodzi emigranci postanowili poczekać na przypłynięcie parowca i za zarobione w fabryce pieniądze pojechać do Argentyny. Niestety, zarabiali bardzo mało. Jednakże z trudnej opresji wybrali ich szczęśliwy przypadek. Do małego portu przybił statek „Filadelfia”, na który Sobiesław zaangażowany został jako kucharz, a Witold jako pomocnik. Tym też statkiem udało się im dotrzeć do ogromnego portu w Nowym Jorku. Jak potoczą się ich dalsze losy czytamy poniżej.

ODCINEK 27

Mrocki chociaż był żołnierzem, ale miał wstręt do przelewania krwi; zajęcie to zatem przejęło go niesmakiem. Nie pozwolił mu się jednak namyślać. Zapytano kategorycznie: chce czy nie chce pracować? Potem wciśnięto w rękę narzędzie śmierci i pozostawiono sam na sam w piwnicy z nieszczęsną rzeszą.

Mrocki westchnął i drżącymi rękami zabrał się do „roboty”. Z początku zabijał z zamkniętymi oczami, widok krwi bowiem sprawiał mu nieopisaną przykrość, ale po kilku godzinach „stwardniał”. Potem musiał robić to, co czynią zwykle kucharki z drobiem. Strasznie wyglądał w swoim białym fartuchu.

Na drugi dzień poczuł, że nerwy jego buntują się przeciwko rzemiosłu rzeźnika; oświadczył więc stanowczo, że woli jakiegokolwiek inne zajęcie, choćby najgorsze. Był przygotowany na wszystko, ale ku wielkiemu jego zadowoleniu znalazł się Chińczyk, który z zimną krwią wziął na siebie jego obowiązki, ustępując mu swoje. Polegały one na czyszczeniu i myciu, za pomocą maszyny, niezliczonej ilości butelek od piwa i wina, które, wypróznione na górze, wracały do piwnicy.

Była to, jak się niebawem przekonał Sobiesław, bardzo ciężka praca; nie dziwnego, że Chińczyk starał się jej pozbyć. Najprzód należało wyciągnąć korki, które pozostawiały często w butelkach, potem kładło się je do maszyny, myjącej drucianą szczotką za pomocą wody wewnątrz, w końcu polerowano butelkę na powierzchni, również za pomocą szczotki maszynowej obracanej motorem elektrycznym, i wieszano ją do wyschnięcia na wielkim wieszadle najeżonym kołkami.

Winda zwoziła do piwnicy po sto z górą butelek na godzinę, tak że Mrocki z największym wysiłkiem mógł nadążyć z myciem ich nawet korzystając z maszyn pomocniczych. W południe czuł się niezmiernie zmęczony i kiedy mu przyniesiono rozkaz, żeby poszedł na obiad do sali jadalnej dla służby, zaledwie trzymał się na nogach.

Lunch trwał pół godziny; wszyscy służący, a było ich ze trzydziestu z całej restauracji, usiedli przy dwóch stołach i jedli pośpiesznie, żeby jak najprędzej wrócić do swoich zajęć. Posiłek był obfity. Stosy mięs, jarzyn, owoców, kawa czarna, piwo, ja-

blecznik, chleb, masło, słowem, nie żalowano nikomu jedzenia, traktowano na równi kelnerów z ostatnimi posługaczami. Tylko Chińczykom i Murzynom dawano osobno, bo, pomimo swoich „demokratycznych” pojęć, Amerykanin uważa za ujmę jeść razem z kolorowymi i bez ceremonii wyrzuca za drzwi każdego Murzyna, który ośmielił się sięść razem z nim do jednego stołu.

Zaraz po drugim śniadaniu musiał Mrocki wrócić do swoich butelek i do wieczora, do szóstej, kiedy się kończył dzień roboczy, umył ich coś z tysiąc. Wracał do domu zmęczony, ale zadowolony, że nie potrzebuje być już katem.

Witold nie dostał jeszcze żadnej roboty i wybierał się stanowczo wyjechać na zachód. Nazajutrz dopiero Mrocki poczuł skutki swej pracy.

Kiedy rankiem podniósł się i zaczął ubierać, krzyż i ramiona bolały go tak, że nie mógł się zgiąć. Stawił się jednak w restauracji punktualnie i znów, z krótkimi przerwami, pracował do wieczora. Nabral już cołkowiek wprawy i robota szła mu znacznie prędzej; ilość nie umytych butelek zmniejszyła się; na czwarty dzień nie miał już żadnych zaległości, a w tydzień potem mógł sobie od czasu do czasu odpocząć pięć minut.

Za taką pracę — przy gazie, w piwnicy, wilgoci — pobierał dwa dolary dziennie.

ROZDZIAŁ II

GRZYMAŁA I MROCKI JADĄ PO SZCZĘŚCIE

Podczas kiedy Mrocki usadowił się w piwnicach baru i dochodził do szczytu wprawy w myciu butelek, jego towarzysz niedoli brazylijskiej daremnie szukał roboty. Obiecywano mu wprawdzie zajęcie, ale dzień za dniem schodził na niczym.

Grzymała nie zniechęcał się łatwo; rankiem, skoro świt, wstawał i udawał się w swoją pielgrzymkę po warsztatach i fabrykach.

Roboty wprawdzie nie znalazł, ale za to poznawał coraz głębiej tajemnicę wielkiego miasta.

Z głównych, pięknie zabudowanych ulic powoli przenosił się w swoich poszukiwaniach na przedmieścia, gdzie gnieździły się setki tysięcy nędzarzy.

Pewnego razu Grzymała znalazł się pomiędzy Włochami, ale panujące tam brudy i podejrzane wielce miny przechodniów, z których wielu nosiło sztylety w cholewie od buta, wypędziły go przedko stamtąd. Współzawodnicząc z Włochami, zadowolającymi się polewką z kukurydzianej mąki, tak zwaną polentą, i owocami, było trudno nawet polskiemu wieśniakowi. Roboty więc nie znalazł, a w swojej wędrówce omal że nie postradał całego swego funduszu. Raz wieczorem, kiedy już powracał, przysunęło się do niego dwóch jakichś włóczęgów; jeden pytał go o coś, po włosku naturalnie, drugi zaś, korzystając z nieuwagi zaczepionego, mistrzowskim ruchem wyciągnął mu z kieszeni woreczek.

Dopiero w domu poczciwy Grzymała spostrzegł, że go okradziono. Na szczęście stracił tylko drobne, bo grubsze pieniądze zamienione na parę banknotów amerykańskich miał zaszyte w podszewce od kamizelki.

Zrażony tą przygodą, Witold udał się do żydowskiej dzielnicy. Mieszkańcy jej, w liczbie paruset tysięcy, zajmowali się przeważnie krawiectwem. Nie znając języka i warunków miejscowych biedacy ci stali się ofiarami wstrętnych wyzyskiwaczy; szyli po szesnastu godzinach na dobę za tak nędzną zapłatę, że głodem przymierali. Wieczorem snuły się po ulicach wynędzniałe, chude, obdarte postacie. Wielu pomiędzy nich mówiło po polsku.

Witold, usłyszawszy ojczysty język, tak się ucieszył, że omal nie wycalaował jakiegoś Izraelity. Wdał się naturalnie z nim w pogawędkę, z której sporo skorzystał. Dowiedział się, że w jednym z sąsiednich stanów budowano nową kolej; w dziennikach ogłoszono, iż potrzebna tam silnych, przywykłych do ciężkiej pracy robotników. Witold zdobył nawet za dwa centy wycinek z gazety i rad niezmiernie pobiegł z tym do hotelu, gdzie zastał już Mrockiego.

Sobiesław nauczył się już na tyle po angielsku, że zrozumiał ogłoszenie. Nazajutrz obaj udali się pod wskazany adres, gdzie istotnie wynajmowano robotników. Warunki były doskonałe. Trzy dolary dziennie za pracę przy nasypie.

Grzymała nie wahał się ani chwili i zapisał się na listę.

— Trzy dolary! — mówił odurzony. — Toć to świetna płaca; człowiek w ciągu roku znaczną sumę odłoży, a potem sobie kawałek ładnej ziemi kupi, i dobra! Mrocki, jedźmy razem. Będzie nam różniej.

— Tak, zarobek niezły, tylko trzeba pamiętać, że w tej Ameryce wszystko dwa razy drożej kosztuje.

— Niech i tak będzie; to znaczy wydam dolara na życie, a dwa oszczędzę. W pół roku odłożę prawie czterysta dolarów, to na grunt wystarczy! — liczył sobie Grzymała. — Miasto mi się srodze naprzykrzyło; kiedy w tych okopconych murach siedzą, skąd ani kawałka nieba nie dojrzysz, to mi się nieraz dusza na świat szeroki wyrывa.

Sobiesław nie odradzał towarzyszowi; i jego praca w piwnicy, w wilgotnej atmosferze, przy sztucznym świetle, dawała się we znaki; pobladł, zmizerniał, choć jadł, ile zapragnął; jakiś ból wlaź mu w lewą nogę, czuł, że ta praca podkopie mu niebawem zdrowie.

Przez jedną noc namyślał się, potem machnął ręką na swoje butelki i bez żalu wymówił miejsce, które z trudem otrzymał.

— Jadę z tobą! — rzekł. — Jeżeli mi się to zajęcie nie spodoba, poszukam sobie innego.

Grzymała aż mu się na szyję rzucił.

— Poczciwy z ciebie chłop! — rzekł całując go siarczyście, z dubeltówki. — W tym mieścisku zmarniałbyś na nic. Zawsze to lepiej i przyjemniej na wsi!

Widzimy, że Mrocki miał w sobie ducha niespokojnego, który mu nie pozwalał usiedzieć na jednym miejscu; nie zastanawiał się głębiej nad nowym projektem, czuł tylko, że w piwnicy, przy butelkach, długo nie wytrzyma, bo mu brak światła i powietrza, do którego przywykł; posłuchał więc namowy towarzysza.

W parę dni po tej rozmowie obaj przyjaciele siedzieli już w wagonie kolejowym, który ich unosił do stanu Ohio, gdzie budowano właśnie kolej.

Wraz z nimi jechało stu Włochów, którzy dążyli do tego samego celu.

Mrocki zauważył, że Włochów, podobnie jak Chińczyków i Żydów galicyjskich, umieszczano osobno, zapewne jako „narodowości drugiego rzędu”.

Rodowici Amerykanie żuli przeważnie tytoń, pluli z zadziwiającą celnością nie tylko do spluwaczek, ale zarazem na buty sąsiadów; kładli bez ceremonii nogi na poręcz przeciwniej ławki tuż obok czyjejs głowy, klęli ordynarnie i zachowywali się gburowato w całym znaczeniu tego wyrazu. A nie było sposobu uniknąć ich towarzystwa, bo amerykańskie wagony mają tylko jedną ogólną klasę. Konduktorzy musieli więc, według swego widzi mi się, rozdzielać podróżnych, przy czym Włochów sadzali osobno, kolorowych znów osobno; porządnie zaś odziane, z wyglądu zamożne osoby także osobno. Co do bogaczy, to ci jeżdżą w wolnej Ameryce przeważnie własnymi wagonami, a przynajmniej w osobnych, zakupionych dla siebie przedziałach.

W ten sposób „demokratyczna” zasada nie jest naruszona, a „porządni ludzie” nie potrzebują stykać się z „hołotą”.

Podróż w tym harmidzerze trwała cały dzień, nazajutrz Grzymała i Mrocki dojechali pociągiem roboczym do miejsca, gdzie robiono nasyp.

Kolej budował jakiś miliarder, do którego należało już kilka linii w tym samym stanie, a budował prawdziwie po amerykańsku. Nasi przyjaciele znaleźli się nagle pośród wielojęzycznego mrowia robotników spędzonych tutaj ze wszystkich krajów świata. Byli tu Murzyni, Chińczycy, Włosi, Niemcy, Czesi, Ukraińcy z Galicji, ba, nawet Indianie, Japończycy no i garstka Polaków.

Dalszy ciąg nastąpi

XV MEMORIAŁ JANUSZA KUSOCIŃSKIEGO

Ostatni egzamin lekkoatletów przed meczem z Francją

XV Memoriał Janusza Kusocińskiego ma zazwyczaj dwa oblicza. Pierwsze to uczczenie pamięci wielkiego polskiego biegacza, który został w styczniu 1940 roku bestialsko zamordowany przez hitlerowskich okupantów. Wyrazem tej pamięci o Januszu Kusocińskim jest bieg sztafetowy, który rozpoczyna się przy Jego grobie na cmentarzu rozstrzelanych na Palmirach, a kończy na Stadionie Dziesięciolecia. Sztafeta przenosi też płomień znicza, palącego się na grobie J. Kusocińskiego na stadion, gdzie przez dwa dni płonie wielki znicz, podobny do olimpijskiego.

DUŻA PRÓBA

Drugie oblicze Memoriału J. Kusocińskiego jest sportowe. W roku bieżącym kilka elementów sprawiło, że dwudniowe zawody znalazły się w centrum zainteresowania polskiej opinii sportowej. I tak w pięciu konkurencjach przeprowadzono eliminacje przed meczem Europa — Ameryka Północna, wobec czego w Warszawie zjawiało się wiele czołowych lekkoatletów, a także lekkoatletów naszego kontynentu, którzy chcą znaleźć się w reprezentacji. Po drugie udział licznej reprezentacji Kenii, blizszej od gwiazd pierwszej wielkości, wpłynął na atrakcyjność konkurencji biegowych.

Po trzecie wreszcie Memoriał był ostatnim egzaminem dla reprezentacji Polski przed czekającymi ją meczami międzypaństwowymi. Wśród tych, które są najbardziej atrakcyjne ze sportowego punktu widzenia, na pierwszy plan wysuwa się spotkanie w konkurencjach mężczyzn z Francją w Pary-

żu, a w konkurencjach kobiecych z Bułgarią w Sofii oraz tydzień później trójmecz NRD — ZSRR — Polska w Lipsku.

SZEWIŃSKA W FORMIE

Zanim przejdziemy do oceny szans w ważnym meczu z Francją, przedstawimy w skrócie najważniejsze wydarzenia Memoriału, w którym uczestniczyli reprezentanci 12 krajów z czterech kontynentów. Pierwszy dzień odbywał się w świetnych warunkach, podczas idealnej pogody. W drugim, zgodnie z tradycją spadł deszcz, co niewątpliwie przyczyniło się do obniżenia niektórych wyników. Ale mimo to kilka rezultatów przeszło najmielsze oczekiwania. Ich autorkami były przede wszystkim panie. I tak **Elżbieta Skowrońska** wynikiem 54,4 sek. ustanowiła rekord Polski na 400 metrów, w dodatku wygrywając z Kubanką **Penton**, która w Meksyku zajęła piąte miejsce. **Irena Szewińska** dwukrotnie w pierwszym dniu pokonała świetną Kubankę **Cobian** wygrywając przedbieg i finał 100 m w doskonałym czasie 11,3. W drugim dniu zawodów **Szewińska** potwierdziła świetną formę wygrywając skok w dal wynikiem 6 m 56 cm i bieg na 200 m w doskonałym czasie 23,3. Polka biegła bardzo rozluźniona, bez wysiłku, co wskazuje na dobre przygotowanie do sezonu.

WSPANIAŁE PŁOTKARKI

Prawdziwe emocje przeżywała ponad dwudziestotysięczna publiczność podczas biegu 100 m przez płotki kobiet. W pierwszym półfinale **Teresa Nowakowa** ustanowiła rekord Europy — 13,4. Już w drugim półfinale **Karin Balzer** (NRD) wynikiem 13,3 sek. poprawiła ten rekord Europy i wyrównała rekord świata. W trzecim półfinale **Teresa Sukniewicz** również uzyskała 13,3 wyrównując rekord Balzer. Niestety burza i w jej rezultacie ulewa rozmiękczyła bieżnię, wobec czego w finale wyniki były trochę słabsze. Wygrała **Balzer** przed **Terese Nowak** i **Terese Sukniewicz**. Dotychczasowa rekordzistka Europy **Heidi Rosendahl** była dopiero szósta.

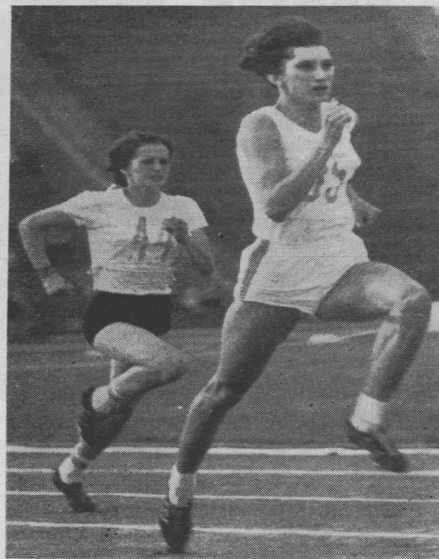
Główny bieg Memoriału na 5000 m zakończył się zasłużonym zwycięstwem **Witolda Barana**, który mimo słabego tempa na początku uzyskał 13.56,2, wyprzedzając Anglika **Longlina Stewarta**, Kazimierza **Podolaka** i doskonałego reprezentanta Kenii, **Naftali Temu**.

Kenijczycy nie odnieśli wielu sukcesów, wydaje się, że nie osiągnęli oni jeszcze formy z okresu Igrzysk Olimpijskich. W dodatku mieli pecha i popisali się... brakiem orientacji. Kiedy bowiem sędziowie ustawili zawodników na starcie biegu na 1500 metrów, Kenijczycy nie spieszyli się i dopiero po strzale startera zaczęli gonić uciekającą stawkę zawodników, która miała już około 30 metrów przewagi. Pościg się udał, ale na finiszu zabrakło oczywiście sił i trzech Kenijczyków, a wśród nich **Ben Jipeho** nie miało szans na walkę o czołowe miejsca. Zwyciężył **Henryk Szordykowski**.

Podczas zawodów Memoriałowych wielu zawodników europejskich uzyskało wyniki lepsze niż minima wyznaczone przez IAAF na mistrzostwa Europy w Atenach, zdobywając tym samym prawo startu w tej wielkiej imprezie.

MÓWI RED. GŁUSZEK

XV Memoriał Janusza Kusocińskiego był jedną z imprez, organizowanych



Irena Szewińska w biegu na 200 m

przez PZLA z okazji 50-lecia istnienia Polskiego Związku Lekkiej Atletyki.

Po zawodach zwróciliśmy się do znanego dziennikarza sportowego, specjalizującego się w lekkoatletyce, red. **Zygmunta Głuszka** z prośbą o komentarz przed meczem z Francją. Oto co nam powiedział:

„Nie znam jeszcze ostatecznego składu reprezentacji Polski, a jedynie zestawienie kandydatów do niej. Oczywiście można niemal bez pudła przewidzieć, którzy zawodnicy będą reprezentować barwy Polski w Paryżu. Nie jestem nastrojony optymistycznie. Zawody Memoriałowe potwierdziły, że polska lekkoatletyka w dalszym ciągu przeżywa poważny kryzys. W trudnym meczu z Francją stoimy raczej na straconej pozycji. W Paryżu będzie bardzo trudno wygrać. W konkurencjach technicznych brak nam reprezentantów, którzy dorównywaliby Francuzom. Mowa tu głównie o kuli, dysku, trójskoiku, młocie i kilku innych. W dodatku Francuzi są bardzo silni w biegach. I chociaż sytuacja w tych konkurencjach nie jest u nas najgorsza, niezwykle trudno będzie zdobywać punkty, którymi latać można będzie straty z konkurencji technicznych. W dodatku mecz rozgrywany jest na zasadzie, że z każdej strony występuje po trzech zawodników. Nie jest to obecnie pomysłem dla nas, ponieważ mamy słabe rezerwy. W sumie więc licząc na wielką ambicję polskich lekkoatletów przewiduję niewysoką porażkę w tym ważnym meczu z Francją”.

Dziękujemy za tę wypowiedź, chociaż nie jest ona zbyt wesoła i z niecierpliwością czekamy na wyniki.

W. KORYCKI

LA SEMAINE SPORTIVE

Le XV-ème mémorial Janusz Kusociński qui s'est déroulé au stade du Dixième Anniversaire à Varsovie était le dernier examen des athlètes polonais avant le match difficile qui les attend face à l'équipe de France. Cet examen s'est malheureusement terminé par un résultat plutôt négatif. Une fois de plus il s'est avéré que les athlètes polonais sont loin d'être en forme, et cela est vrai tant en ce qui concerne les as que les jeunes membres de l'équipe nationale. Cela est d'autant plus pénible que suivant les nouveaux règlements, chaque équipe présente trois sportifs pour chaque discipline. Cela veut dire que chaque athlète a une rôle important à jouer. Dans les milieux journalistiques sportifs varsoviens, on considère que le match France-Pologne se terminera par une victoire française bien que les sportifs polonais feront tout pour obtenir les meilleurs résultats possibles. L'équipe polonaise est particulièrement faible en ce qui concerne les disciplines techniques tels que le poids, le triple-saut, le disque etc. En ce qui concerne les courses la situation des Polonais est meilleure mais là aussi l'équipe de France est très dangereuse. Il semble improbable que l'équipe polonaise soit en état d'égaliser dans les courses les pertes résultant des disciplines techniques. Tout cela fait que l'on prévoit à Varsovie une victoire de quelques points de l'équipe de France.

Signalons qu'à l'occasion du mémorial le 5000 mètres a été gagné par le Polonais **Witold Baran** et que dans de nombreuses disciplines les sportifs européens ont fait preuve d'une forme intéressante. Nombreux ont été ceux qui par les résultats acquis se sont qualifiés pour les prochains championnats d'Europe ainsi que pour faire partie de l'équipe européenne qui affrontera l'Amérique.

Les footballeurs polonais ont terminé la saison en I et II divisions. Le champion de Pologne pour 1969 est l'équipe varsoviennne **Legia**. Les joueurs de la **Legia** sont actuellement aux Etats-Unis où ils disputent plusieurs matches amicaux. Les équipes de **Cracovia** (Cracovie) est **Gwardia** (Varsovie) sont passées de seconde en première division tandis que leurs places ont été prises par **ROW Rybnik** et **Śląsk Wrocław**.

SKŁAD REPREZENTACJI POLSKI NA MECZ Z FRANCJĄ

Po Memoriale Kusocińskiego ustalono wstępny skład reprezentacji polskich lekkoatletów na mecz z Francją. Oczywiście w zestawieniu podanym poniżej mogą nastąpić niewielkie zmiany, ponieważ w ciągu dwóch tygodni zawodnicy mogą odnieść kontuzje lub mogą wydarzyć się im inne wypadki losowe. Oto proponowany skład:

100 m i sztafeta 4 × 100 m: Nowosz, Jaworski, Kiczko i Romanowski,
200 m: Werner, Balachowski, Nowosz,
400 m i sztafeta 4 × 400 m: Badeński, Werner, Balachowski, Grędziński,
800 m: Szordykowski, Kupczyk, Wardak,
1500 m: Szordykowski, Maluśki, Głowczewski,
5.000 m: Baran, Piotrowski, Brehmer,
10.000 m: Szutko, Korzec, Podolak,
3.000 m. przesk.: Chudecki, Cych, Luers,
110 m. pł.: Kołodziejczyk, Józwik, Majchrzak,
400 m. pł.: Weistand, Kulczycki, Serafin, Siwiec,
Skok wzwyż: Białogrodzki, Maciejewski, Czernik,
Skok w dal: Stępień, Wałkowski, Kocot,
Tyczka: Sokołowski, Dobrosz, Piątkowski,
Trójskok: Adamik, Puławski, Jaskólski,
Kula: Gajdziński, Majchrowski, Antczak,
Dysk: Piątkowski, Begier, Gajdziński,
Młot: Pałyszko, Gaździk, Cieply,
Oszczep: Nikiciuk, Sidło, Krupiński, Głogowski.

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives) tel. 52-08-86
Siedziba: 199, rue de Paris LILLE Tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca

■ suknie ■ spódnice ■ swetry
■ bluzki ■ popeliny ■ tergal i płaszcze
PIERZE ■ WSYPY ■ POSZWY ■ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

Les chanteurs chez nous

DAVID ALEXANDRE WINTER

„Oh LADY MARY” — quand on l'entend chantée d'une vraie voix, ample, puissante et pourtant retenue, d'un timbre chaud on pense au premier abord: „c'est du Tom Jones!”... et puis non, quand on écoute encore une fois, on se rend bien compte que David Alexandre Winter n'est absolument pas Tom Jones. Il y a encore un petit quelque chose de plus, une puissance contenue, des finesses et des subtilités, un pathétique intense mais sobre, des tendresses et des passions qui ne sont pas des cris étranges mais l'accord d'une musique et d'une voix.

Hollandais, il est en France depuis 4 mois, mais quand cela est nécessaire il apprend vite; il parle français couramment.

— Racontez-mois un peu votre vie David...

— Oh, c'est simple vous savez, après quelques mois à la mine, je suis rentré comme coursier à Hilversum, radio plantes vertes, vous connaissez? Puis je suis devenu assistant disc-jockey, je chantais d'ailleurs en même temps que les interprètes sur les disques.

— Et, on aimait?

L'oeil de David se plisse un peu, il se demande comment il va dire sans fortanterie que, ma foi, oui on a beaucoup aimé!

— Alors?

— J'ai pris des cours de chant et de danse, j'ai été engagé pour jouer MY FAIR LADY, j'ai aussi remporté la coupe d'Europe de la chanson à Innsbruck, et voilà.

Il sourit en penchant la tête comme gêné de ce qu'il vient de dire en sa faveur... C'est si rare cette gentillesse, cette simplicité que je me demande s'il ne me fait pas

le numéro du parfait petit chanteur...

— Dites moi David, vous êtes comédien n'est-ce pas?

Apparemment, il se demande pourquoi cet enchaînement, cette question affirmative et un peu agressive.

— „Je crois que si je n'avais pas été chanteur, j'aurais été comédien, d'ailleurs je considère que tout le monde naît comédien. Certains, les plus doués, en font leur métier, les autres de temps à autre”.

— Donc, vous aimez mentir aux gens?

— „Mentir? Non! ...on ne ma jamais demandé cela aussi abruptement... en tout cas j'aime raconter une histoire que j'invente jusqu'à ce que les gens pleurent, même s'ils se doutent que cela n'est pas vrai ils sont contents qu'on leur raconte les histoires qu'ils auraient aimé vivre”.

— Alors vous aimez faire du théâtre?

— „Non”

— Comment non?

— „J'ai peur du théâtre, j'aime Rex Harisson, les comédiens musicales, mais je préfère le cinéma.”

— Mais enfin, la progression, l'intensité de l'action vont crescendo dans une pièce, vous la vivez, alors qu'au cinéma ce ne sont que des petites scènes sans aucun lien!

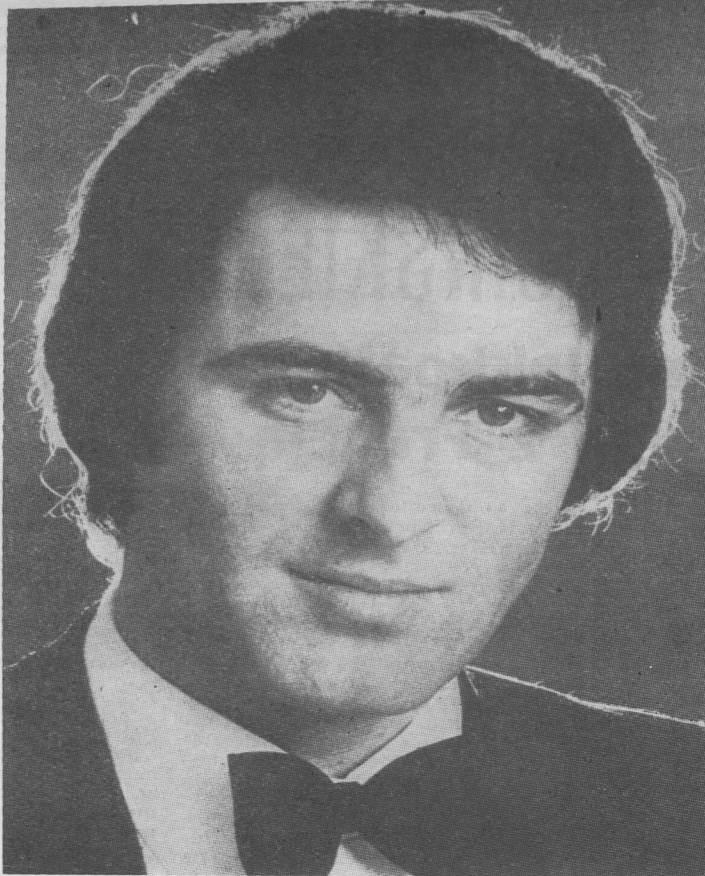
— „Je ne veux pas rater”.

— Seriez-vous orgueilleux?

— „Non, mais je voudrais être parfait, pour le moment c'est plus facile au cinéma, c'est tout”.

— Et si malgré tout, malgré vous, vous ratez quelque chose?

— „Je casse tout, je suis triste, et je fais une chanson”.



— A quoi rêvez-vous d'arriver? Je ne parle pas de réussite sociale, mais de réussite exclusivement professionnelle.

Il réfléchit un moment l'air dur.

— „Mon langage c'est la musique, c'est ma façon de parler, j'ai donc besoin de ressentir pour chanter, c'est pourquoi je ne pense pas possible d'interpréter deux fois de suite une chanson de la même façon ou alors, ce n'est

que de la technique. Je veux que les gens me comprennent et partagent toutes mes émotions”.

— La voix et l'intelligente personnalité de ce garçon sont tellement inattendues qu'on oublie de parler de son aspect physique qui est aussi important pour chaque chanteur: il est donc, assez grand, très brun, très viril, infiniment élégant et distingué, en un mot très gentleman... et il a 25 ans.

OSTATNI KASZTELAN

Kasztelan — w Polsce przedrozbiorowej wysoka godność administracyjna, wojskowa i równocześnie władza sądowa. Kasztelan mianowany przez króla rezydował na „kasztele”, czyli zamku obronnym. Wchodził z urzędu w skład izby senatorskiej. Pierwsze zaś miejsce wśród wszystkich senatorów, jeszcze przed wojewodami, zajmował „Pan Krakowski”, czyli kasztelan rezydencji królewskiej. Nawet po przeniesieniu stolicy do Warszawy „Pan Krakowski” utrzymał w senacie swoją pozycję.

Kasztelanowie w Polsce Ludowej? Przecież ostatni raz urzędy te były obsadzone w XVIII wieku? A przecież jest taki jeden, i to sprawujący swą funkcję nieprzerwanie od 1928 roku! Oczywiście kasztelanem nazywają go wszyscy pół żartem — pół serio, ale nie bez uzasadnienia. Zasłużył sobie na tę honorową godność niezwykłym poświęceniem i ofiarnością w ratowaniu zabytku kultury narodowej.

Turyści i wczasowicze przebywający w Kazimierzu nad Wisłą (nazwa oficjalna brzmi: Kazimierz Dolny, czyli w dole Wisły leżący, w górze rzeki jest inny Kazimierz — dzielnica Krakowa) nieraz podziwiają widok pięknej sylwetki na wpół zrujnowanego zamku w Janowcu po drugiej stronie Wisły. Właśnie — na wpół, a mógłby być tylko kupą gruzów. W Polsce przedwzrośniętej fundusze na konserwację zabytków były nad wyraz skromne, a potrzeby olbrzymie. Przecież odnowienie Wawelu nie zakończyło się bynajmniej w 1939 roku, choć rozpoczęło je jesz-

cze w XIX wieku, gdy wojska austriackie wyprowadziły się z koszar na terenie zamku królów polskich. Cóż dopiero mówić o obiektach, które leżały dosłownie w ruinie.

Zamek w Janowcu ma wielką wartość historyczną. Potężna to ruina dawnej rezydencji rodów możnowładców: Firlejów, Tarłów, Lubomirskich. Lecz od dawna nie była zabezpieczona, aż wreszcie w roku 1928 kupił ją pan Leon KOZŁOWSKI. I wszystko co posiadał, wszelkie fundusze i całą pasję społecznika-opiekuna zabytków włożył w zabezpieczenie i częściową — na więcej nie było go stać, restaurację zabytku. Odbudował i uporządkował kilka komnat zamkowych, zgromadził w nich trochę zabytków sztuki i fragmentów dekoracyjnych architektury, odgrzebanych z gruzów. Na ścianie komnaty kominkowej

zawiesił portret „Czarnej Damy”, która tu, według legend, ukazuje się czasami ludziom.

Może i naprawdę? Nikt tam jej nie widział. Za zwiedzanie zamku pan Kozłowski pobierał minimalną opłatę, wszelkie dochoty z tego tytułu wkładając w odbudowę. Gdzie trzeba było, zabezpieczył przejścia przez ruiny barierkami, gdzie mógł i stać go było — zawiesił piękne kute w żelazie lampy. I tak ofiarnością i pracą własnych rąk dorobił się tytułu „kasztelana”.

Dziś pan Kozłowski, stera-ny wiekiem, nie jest już w stanie własnym sumptem utrzymać zamku w Janowcu. Obecnie trwają poszukiwania „mecenasa”, czyli instytucji, która przejmie na siebie koszty dalszej odbudowy i adaptacji zamku na potrzeby dnia dzisiejszego. (G).

WYMIENIAMY KORESPONDENCJĘ

MAREK KAMIŃSKI — Warszawa 9, ul. Bartnicza 15 m 1 — chciałby mieć przyjaciół we Francji i Belgii, dlatego prosi Redakcję „TP” o zamieszczenie jego adresu. Czynimy to z przyjemnością i zachęcamy młodzież do nawiązania przyjacielskiego kontaktu. P. Marek ma 20 lat, studiuje poligrafię na Politechnice Warszawskiej, a oprócz tego interesuje się fotografią i muzyką. Zapewnia, że odpowie na każdy list niezależnie od wieku i zainteresowań korespondentów.

BEATA NOWAK — Poznań 18, ul. Dziewińska 51 — chciałaby korespondować z młodą osobą z Paryża, najchętniej pochodzenia polskiego. P. Beata ma 23 lata, jest studentką, słabo zna język francuski i ma nadzieję, że przez korespondencję pogłębi znajomość tego języka.

JANUSZ ŁUSZCZEWSKI — Wąbrzych 8, ul. Nowa 2/7 — pragnie korespondować z młodzieżą z zagranicy. Ma 20 lat i jeszcze się uczy. Może korespondować na temat sportu i wymieniać znaczki pocztowe.

BOGUSŁAW WYROSTKIEWICZ — Warszawa, ul. Niemcewicza 9 m 95 — pisze do redakcji „Za pośrednictwem „Tygodnika Polskiego” chciałbym nawiązać kontakt z jakimś Francuzem (studentem) o zainteresowaniach literacko-artystycznych. Mam 22 lata — jestem członkiem Koła Młodych Twórców. Uprawiam poezję i prozę. Lubię teatr, film i muzykę. Studiuję w Warszawie. Kolegę Francuza chciałbym zaprosić w czasie wakacji do Polski do Zakopanego, gdzie mieszkają moi rodzice”.

CIEKAWÉ

SZYBOWIEC LEONARDA

W rękopisach genialnego uczonego i malarza epoki Odrodzenia, Leonarda da Vinci, znaleziono pewną ilość rysunków, przedstawiających różnego rodzaju aparaty latające. Są to zaledwie schematyczne szkice, ale i to okazało się wystarczające dla dwóch inżynierów kanadyjskich. Zbudowali oni według rysunków Leonarda szybowiec z aluminium i drewna. Aparat lata bez zarzutu.

W POSZUKIWANIU MILIONA DOLARÓW

Amerykańskie okręty i helikoptery kontynuują poszukiwania dwóch kapsuł generatora prądu SNAP-19, pochodzącego ze spłutnika meteorologicznego „Nimbus-B”, które niedawno spadły do oceanu. Zadanie to przypomina przysłowiowe poszukiwanie igły w stogu siana, jest jednak czego szukać: w kapsułach znajduje się nadwyzwyczaj drogi izotop plutonu-238. Wartość jego wynosi prawie milion dolarów.

POGODA, TELEWIZJA I HAZARD

Telewizja miasta San Francisco (USA) postanowiła zbadać przy pomocy ankiety popularność nadawanych audycji. Oto co odpowiedziały na ankietę niejaka Betty Graham głosząc na... prognozę pogody: „Każdego dnia zakładam się o dolara, że pogoda będzie akurat przeciwna, niż ta, którą przepowiadają synoptycy. W ubiegłym miesiącu, na przykład, przyniosło mi to 27 dolarów...”.

LASER W ROLI DENTYSTY

Pewien uczony amerykański jest autorem sposobu wykorzystania laserów w stomatologii do swego rodzaju „spawania” emalii zębów. W kołach stomatologów amerykańskich wywołany jest ogromny entuzjazm, iż w ciągu niedługiego czasu laser stanie się zwykłym narzędziem w praktyce każdego dentysty.

DŁUGIE SZYNY — LEPSZA JAZDA

W Szwecji postanowiono zastosować w kolejnictwie szyny o długości 360 metrów. Te super-szyby pozwolą pociągom na osiągnięcie wielkich szybkości, a jednocześnie będą dużo tańsze w eksploatacji. Rozpoczęto już budowę zakładów, które mają produkować owe szyny.

RAKJETOWY STRAŻAK

W Jugosławii skonstruowano sterowany pocisk rakietowy, przeznaczony specjalnie do gaszenia pożarów lasów. Wyrzutnia takich pocisków ustawiana jest w lesie obok stacji obserwacyjnej. Po wystrzeleniu z wyrzutni rakietą, niosącą środek przeciwpożarowy, sterowana jest drogą radiową.

RAK I TYTON

W 1967 roku w Anglii zanotowano dalszy wzrost zachorowań na raka płuc. Ilość wypadków śmiertelnych zwiększyła się o 1.227 w ciągu roku i już czterokrotnie przewyższa ilość ofiar wypadków samochodowych! Brytyjscy specjaliści są zdania, iż pozostaje to w bezpośrednim związku ze zwiększeniem liczby palaczy.

WĘGIERSKI ELEKTROSAMOCHÓD

Na Węgrzech konstruowany jest nowy model samochodu o napędzie elektrycznym. Pierwszy, prototypowy egzemplarz rozwija szybkość 35 km/godz., waży 250 kg i ma taką samą ładowność. Maszyna może przebyć 140 km bez ładowania akumulatorów. Konstruktorzy twierdzą, że następne samochodziki z tej serii będą rozwijały już szybkość 50 km/godz.

ODRZUTOWE BUTY

W ośrodku badawczym w San Diego (USA) przeprowadzono próby zainstalowania napędu odrzutowego w butach kosmonauty. Po opuszczeniu kabiny, znajdując się w stanie nieważkości w przestrzeni międzyplanetarnej, kosmonauta mógłby w ten sposób zmieniać swoje położenie. Wystarczy odpowiedni skurcz palcami stóp, by uruchomić napęd odrzutowy o sile ciągu 1,8 kg.

AUTOMAT DO CZYTANIA

W centrum statystycznym Litewskiej Republiki Radzieckiej wyprodukowano urządzenie, które jest zdolne odczytywać teksty zarówno drukowane jak i pisane ręcznie. Urządzenie nazywane „Ruta 701” odczytuje 200 znaków w ciągu sekundy. Ilość pomyłek wynosi nie więcej niż 1 na milion znaków. Automat stosowany jest do odczytywania literackich bez względu na jakość użytego papieru i rodzaju pisma oraz czcionek.



Kasztelan we własnej osobie

Fragment zamku w Janowcu



dla dziewcząt i kobiet • dla dziewcząt

RADY

od

SERCA

DROGA PANI ANNO!

Mam dobrego męża, jest dla mnie czuły, serdeczny, kocha mnie. Żyjemy już z sobą piętnoście lat, i tylko na jeden temat wybuchają między nami kłótnie — o alkohol. Bo mój mąż ma słaby charakter i jak zacznie pić, to nie może skończyć. I wtedy oczywiście wynikają kłopoty, zaniedbuje prace, obowiązki, nie wraca do domu. Raz się zdarzyło, że zgubił po pijanemu ważne papiery, innym razem całą pensję, kiedyś znowu wrócił bez marynarki. Potem, gdy wytrzeźwieje, jest zupełnie złamany, płacze i mówi, że mu strasznie wstyd. Ale tak trwa tylko do następnej okazji. Nie wiem, czy mnie pani zrozumie, ale strasznie mi żal tego człowieka i nie wiem, w jaki sposób mogłabym mu pomóc. Rozmawiałam kilka razy z kolegami męża, prosiłam ich o pomoc, ale to nic nie daje, bo oni sami lubią pić i lubią jego towarzystwo. Bardzo proszę pani Anno o radę.

KOCHAJĄCA ONA

SZANOWNA PANI!

Rozumiem panią, pani troška wynika z prostego faktu — kocha pani swego męża i chce go ratować. Myślę, że są takie szanse. Trzeba go leczyć. Tzw. leczenie odwykowe jest teraz bardzo popularne. Powinna pani dowiedzieć się na swoim terenie gdzie przyjmuje lekarz specjalista. Pójść do niego najpierw samej, porozmawiać, opowiedzieć o wszystkim, poradzić się, a następnie skłonić męża do udania się na badanie. Myślę, że chętnie przyjmie on pani inicjatywę, bo, jak wynika z pani listu, sam bardzo boleje nad swoją słabością. Takie leczenie odbywa się w całkowitej dyskrekcji. Wymaga jednak od pani ścisłego współdziałania. Wydaje mi się, jeśli oczywiście rozporządza pani wolnym czasem, że należałoby rozłożyć nad mężem opiekę w sensie dosłownym, jak nad dzieckiem. To znaczy — podczas przerwy obiadowej przychodzić po niego do pracy, również po pracy nie zostawiać go samemu sobie. Stworzyć pewien system ścisłej kontroli, spod której trudno mu się będzie wymknąć. Sądzę, że na trzeźwo mąż zrozumie konieczność takiego współdziałania, a po jakimś czasie będzie pani szczerze wdzięczny. Przede wszystkim jednak trzeba jak najszybciej poradzić się lekarza i wykonywać ściśle jego polecenia.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Weszłam w tak zwany wiek przejściowy. Bardzo mi jest trudno i ciężko. Nic mi się nie chce. Jestem ciągle podenerwowana, zachowuję się nienormalnie i wszyscy na oko to widzą. Ciągle kłóczę się z mężem, dokuczam dzieciom, a w pracy narobiłam sobie pełno wrogów. Najgorsze jednak jest to, że chociaż zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę, nic nie mogę na to poradzić, bo to jest silniejsze ode mnie. Myślę bardzo poważnie, żeby rzucić pracę, żeby siedzieć w domu i trochę odpocząć.

Nie muszę zarabiać, tak się teraz szczęśliwie składa, że mogę sobie pozwolić na odpoczynek. Powiedziałam już o tym mężowi, on się zgodził i zdaje mi się, że jest nawet zadowolony, bo ma nadzieję, że to mi pomoże na zdrowie. Całe życie pracowałam, więc trochę się obawiam, czy łatwo mi będzie zrezygnować z czynnego życia. Mam 43 lata, przecież to nie jest jeszcze starość. Czekam na pani odpowiedź, bo postanowiłam niczego sama nie decydować, póki mi pani nie poradzi.

STARŠA PANI

DROGA PANI!

Może to panią zdziwi, ale ja jestem absolutnie przeciwna na myśl, by pani rzuciła pracę. Właśnie teraz, w momencie kiedy tak przykro odczuwa pani zmiany związane z wiekiem przejściowym, nie należy pozbywać się obowiązków, które zmuszają człowieka

do działania. Nie chcę być złym prorokiem, ale jestem pewna, że jeśli rzuci pani pracę, stan zdrowia, a zwłaszcza stan psychiczny ulegnie szybkiemu pogorszeniu. Jedną rzeczą jest dla mnie niezrozumiałą — czy dotychczas nie radziła się pani lekarza? Stany, jakie pani przeżywa, są dość częste. Medycyna w tej dziedzinie rozporządza wieloma doskonałymi środkami, które skutecznie łagodzą dolegliwości kobiet. Trzeba więc przede wszystkim udać się do lekarza. Poza tym powinna pani starać się wypełnić swój wolny czas, przebywać dużo na powietrzu, chodzić na długie spacerunki i mieć stale jakieś obowiązki. Najgorsza bowiem jest beczynność. Tylko przewyciężanie depresji w sposób czynny daje rezultaty. Resztę, czyli dokładne leczenie oraz zalecenia ogólne da pani lekarz. Proszę się do niego udać niezwłocznie.

ANNA

UROJONA CIAŻA

Do kliniki położniczej w Lublinie zgłosiła się 48-letnia kobieta z prośbą o pomoc w dolegliwościach kobiecych, które towarzyszą jej nowej ciąży. Lekarze po zbadaniu orzekli, że ciąży nie ma. Po trzech miesiącach kobieta zgłosiła się znowu, powoływała się na orzeczenia innych lekarzy, którzy ciążę stwierdzili, i podawała, że od dwóch tygodni odczuwa już ruchy płodu. I znowu lekarze z kliniki, choć pomogli w dolegliwościach, usiłowali przekonać ją, że nie jest w ciąży. Bez skutku.

Po dalszych kilku miesiącach przyszła znowu, oświadczając iż jest już w terminie porodu, a występujące dolegliwości są jej zdaniem jego zapowiedzią. Lekarze kliniki cierpliwie zbadali, ale tylko zewnętrznie, gdyż kobieta nie zgodziła się na badanie ginekologiczne, twierdząc, że może to spowodować poronienie. Stan fizyczny kobiety zaczął jednak nasuwać niektórym lekarzom wątpliwości; u pacjentki było wyraźnie widoczne powiększenie brzucha i piersi, a w moczu znaleziono hormony typowe dla ciąży. Dopiero na usilne na-

leganie lekarzy kobieta zgodziła się poddać dokładniejszemu badaniu, podczas których lekarze stwierdzili, że żadnej ciąży nie ma. Gdy jednak usiłowali o tym kobietę przekonać, ta potraktowała ich nieufnie... Zgodnie jednak z ich poleceniem przyszła na badanie kontrolne po następnych 5 miesiącach. Okazało się, że pozorne objawy ciąży już znikły, ciężar ciała wrócił do normy, ale kobieta jeszcze nie była całkowicie przekonana o tym, że nie urodziła.

Sprawa wyjaśniła się dopiero w dłuższej rozmowie z kobietą. Okazało się, że w ostatnich latach jej najgłośniejszym pragnieniem było zająć w ciąży i urodzić dziecko, od tego bowiem zależało utrwalenie jej małżeństwa. Niezwykle silna sugestia zaczęła wpływać na zmiany w organizmie, łącznie nawet ze wzmocnionym wydzielaniem hormonów. Objawy te jeszcze bardziej umacniały ją w przekonaniu o ciąży, doprowadzając nawet do odczuwania ruchów rzekomego płodu. Była to jednak „ciąża urojona”.

KAMIEŃ NERKOWY I WIRUJĄCY STOLEK

Urodziny na całym świecie wciąż poszukują nowych skutecznych sposobów na usuwanie kamieni nerkowych. Specjalista francuski dr Cottet wypadł na oryginalny pomysł. Przeprowadzając wywiady z pacjentami zauważył często zdarzający się fakt wydalania kamieni moczowych po długiej podróży koleją lub konnej jeździe.

Skonstruował taboret o specjalnej wibracji i umiesz-

czał na nim swoich pacjentów podając im duże ilości wód mineralnych. Wyniki okazały się zupełnie dobre. Przy kamicy moczanowej 50 proc. chorych pozbyło się bolesnych kamieni. Przy kamicy szczawianowej — około 35 proc. Drgania mechaniczne były bardzo dobrze znoszone przez chorych i nie wywoływały napadu kolki nerkowej. Wirujący stolek dr Cottet przyniósł pomoc wielu cierpiącym. (mg).

Michalinka ma głos

KLUSECZKA

CZY znacie Kluseczkę? Kluseczka jest małą, pulchną córeczką mojej sąsiadki, pani Helenki. Helena tyle o niej zawsze opowiada, że nie przypuszczam, aby ktokolwiek o Kluseczce dotąd nie słyszał. Kogo spotka, zawsze naprowadza rozmowę na swoją córeczkę.

— Wie pani — powiada do mnie — ja nie należę do tych matek, które same cuda widzą w swoich dzieciach. O, nie. Jestem krytyczna w sądach. Ale muszę przyznać obiektywnie, że moja Kluseczka jest niezwykle inteligentnym dzieckiem.

— W kogo się wdała? W tatę?

— Skądże! Nie wiem, skąd do niego takie rozbawienie stworzenie. Ma dopiero trzy latka i trzy miesiące, i nie uwierzy pani, jak już potrafi mówić. Wczoraj, na przykład, siada do stołu i powiada: Klu, klu!

— Nadzwyczajnie. A co to znaczy?

— Klu, klu, to znaczy, że Kluseczka chce jeść. A ble-ble, to znaczy że jej nie smakuje.

— Niezwykle dziecko!

— To jeszcze nic. A jaka jest stanowcza! Gdy coś się jej nie podoba, powiada „Bum!” i wtedy nie można się jej sprzeciwić. Charakter ma wyrobiony! Jeszcze jak! I nóżkami jak tupnie, to wszyscy musimy jej ustępować. Cha, cha, cha, na moją teściową nawet patrzeć nie chce. Powiada: „Baba-be” i wystawia języczek. Mąż mówi, że to moja szkoła, ale gdzie tam! Dziecko samo ma wyuczucie.

Słucham cierpliwie o tych niezwyklej zaleceniach i talentach Kluseczki, ale wkrótce mam tego dosyć i staram się zmienić temat rozmowy. Pytam więc na chybił-trafił:

— Czy mąż pani już wrócił z podróży?

— Wrócił wczoraj. I wie pani, co zrobiła Kluseczka? Wszypała mu soli do piwa. Cha, cha, cha, uśmiełam się.

Zaczynam z innej beczki.

— Ładną ma pani torebkę. Gdzie ją pani kupiła?

— Dostałam w upominku od szwagierki. Właśnie ta moja szwagierka ma również dziewczynkę w wieku mojej Kluseczki. Ale gdyby pani widziała różnicę między tymi dziećmi! Nawet mój szwagier powiedział, że...

Szybko żegnam się z panią Helenką.

— Dokąd się pani tak śpieszy?

— Mam spotkanie z panią Durant.

— Z panią Durant, tą z przeciwka? O, cóż to za nieciekawa kobieta. Ona przecież o niczym innym nie potrafi rozmawiać tylko o swoich dzieciach!

MICHALINKA

LETNIE
POPOŁUDIE

Ostatnie kilka felietonów poświęciliśmy modzie weekendowej. Nasze Czytelniczki poznały gusty Polek w wydaniu „dziennym”. Tym razem chcemy zaprezentować typowe sukienki na późne popołudnie.

Sukienka z cienkiej wełny w ciemnym kolorze jest bardzo skromna, ale elegancka. Krój prosty, typu worek, lekko rozszerzany ku dołowi. Jedyną ozdobą nadającą sukience odświeżony charakter jest tzw. haft angielski.

Dруга z prezentowanych sukienek jest bardziej wyrafinowana. Uszyta także z cienkiej wełny, biała albo bardzo jasna, wykończona jest kolorową krajką. Sukienka ma bardzo głęboki dekolot, z tyłu dochodzący do połowy pleców. Krój spodniczki — „portfelowy”. Krótki żakiet zapięty na jeden duży guzik uzupełnia tę oryginalną kreację.



LIPSIY *Józefa Grzybka*

WARTO, ABY RODZICE WZIĘLI TĘ SPRAWĘ DO SERCA

PANIE REDAKTORZE!

Wreszcie nadeszło lato. Jak w piosenkach śpiewanej przez zespół „Słask”, „słoneczko wyszło i śmieje się”. Po świecie „fyrąją” sobie muszki, motylki i inne stworzonka. Każdego dnia po południu siadam z unuczkami na ławeczce na podwórku i albo przyglądamy się trusiom, albo ja mu czytamy bajkę o sierotce Dorocie: „Jestem sierotka Dorotka. Ugotuję zupę z bani i kluszczeni smaczna na niej. Jeść dam kotom, psom, no i pozamiatam dom”, itd. Sąsiadeczka znowu paradytuje po ogródku bielutka jak lilijka, to znaczy w samej tylko haleczce. Ciepłutko, miłutko, fajniutko. Stowem — lato.

(Proszę mi wybaczyć, że tak dzisiaj zdrabniam wszystkie wyrazy jak dziecko — to niechybnie wpływu wnuka. Kto z kim przestaje, takim się staje — wiadomo).

Ciepłutko, miłutko, fajniutko, toteż ludzie o niczym innym już teraz nie gadają, jak tylko o wakacjach. Każdy unosi się nad urokiem okolicy, w której zamierza spędzić wakacje. Jedni wystawiają Lazurowe Wybrzeże, drudzy Alpy, inni jeszcze Bretanię albo bezmiar lasów sosnowych departamentu Landes — jak w „Powrocie taty”. „Ten sobie mówi, a ten sobie mówi, Pełno radości i krzyku”. Oczywiście tematem tych przedwakacyjnych rozmów jest również Polska, bo podobnie jak w latach ubiegłych wielu ludzi wybiera się na wakacje do starego Kraju, a poza tym do Polski pojedzie tego lata także i sporo dzieci, i młodzieży z naszej kolonii.

Dzisiejszy swój „List” chciałbym poświęcić właśnie tym dzieciom i młodym ludziom, którzy spędzą wakacje w Polsce. Może ktoś powiedzieć, że to nie moja sprawa, moje córki to już kobiety zamężne i dzieciata, a wnuk to jeszcze całkiem mały berbeć, więc o co chodzi i po co ja tutaj wścibiam swój nos. Hm. To prawda, że nie mam już dzieci, które mógłbym wyśłać na wakacje do Polski, ale przecież jeszcze parę lat temu moje córki jeździły na obozy młodzieżowe do Kraju, więc mam w tych sprawach niejaki doświadczenie. Pamiętam, jak to było, kiedyśmy wystali je do Polski po raz pierwszy. O niczym innym nie mogliśmy wtedy z żoną myśleć, jak tylko o tym, czy im — córkom — ta Polska, o której tyłem im naopowiadali, się spodoba, czy przypadnie im ona do serca, czy — że się tak wyrażę — potrafią się z nią zaprzyjaźnić? Pamiętam, z jaką radością czytaliśmy ich pełne zachwytu listy; jak cieszyły nas upominki, jakimi obdarowali je krewni; z jakim wzruszeniem słuchaliśmy wierszyków i piosenek, jakich nauczono je na kolonii letniej. Pamiętam to wszystko dokładnie i twierdząc, że kolonie i obozy letnie w Polsce są wielką, oszałamiającą przygodą nie tylko dla dziecka, ale także i dla rodziców, ba, nawet i dla dzieci, i dla babusi. No nie? Sami powiedzcie, czy tak nie jest?

A oto co chciałem powiedzieć w sprawie wyjazdu naszych dzieci i

wnuków na kolonie letnie i obozy do Polski: parę tygodni temu „Tygodnik” wydrukował artykuł zatytułowany „Nasze dzieci to też Polonia”. Może pamiętacie? Stało tam m. in. tak: „Nawet gdy wybieramy się z wizytą do krewnych, dajemy dzieciom wskazówki, jak mają postępować, by wizyta była radością dla obu stron. Teraz nasze dzieci będą ambasadorami Polonii w Kraju. Zadajmy o to, by swą postawą godnie nas reprezentowały”. Święte słowa, prawda? Tylko jak na mój gust, to wszystko to jest zbyt ogólnie powiedziane, dlatego też postanowiłem do tych świętych słów coś niecoś dorzucić i nazwać rzeczy po imieniu.

Sprawa wygląda tak: wśród wyjeżdżających na obozy do Kraju chłopców i dziewcząt są tacy i takie, którzy zachowują się paskudnie. Nie słuchają wychowawców, regulamin obozowy mają za nic, na złość nie chcą mówić po polsku ani też uczyć się polskich piosenek, wydaje im się, że ponieważ przyjechali z Francji, to są czymś lepszym od krajowych kolegów i koleżek, w ogóle sprawują się tak, jakby wychowano ich tam, gdzie, jak to się mówi, drzewi się ryjami otwiera. Wszyscy dobrze o tym wiedzą, ale nikt o tym mówi ani pisać nie chce, bo to nie wypada. Nawet własna moja żona, której zwierzyłem się wczoraj z zamiaru poruszenia tego „wstydlwego” tematu, poradziła mi, żebym o tym nie pisał, bo są to rzeczy kłopotliwe i żenujące. Ale ja postanowiłem rąbać prawdę, i już. Może się za sprawą tego „Listu” coś zmieni. Oby.

Powie ktoś: Którzy i które to są, co to tak broją i wystawiają na szwank dobre imię francuskiej Polonii? Dawać

ich sam, sprać takiej czy takiemu — tak serdecznie, po ojcowsku — pośludki, i zaraz wszystko wróci do normy! Nie bądźmy znowu tacy w gorącej wodzie kąpani. Zastanówmy się trochę. Ja tam tych dzieci — bo przecież są to jeszcze dzieci — nie winię. Piętnaście, szesnaście czy siedemnaście lat — to jest tak zwany głupi wiek. W tym wieku ma się pstro w głowie, jest się przemądrzałym i patrzy się z góry na cały świat. Ja tu winię starych, rodziców. Uważam, że zachowanie się dziecka w Polsce i w ogóle poza domem zależy od postawy rodziców, od atmosfery, jaka panuje w rodzicielskim domu. Jeśli się dziecko do podróży do Polski przygotowuje, jeśli wytłumaczy mu się, że, jak to powiada przysłowie, jak cię widzą, tak cię piszą, to postępowanie jego z pewnością nie przyniesie nam ujmy.

Od postawy rodziców zależy również wrażliwość dziecka na Polskę. Dziecko, któremu rodzice opowiadają w domu o Polsce, które wie, co to jest Wawel, z kim się wojska króla Jagiełły zmierzyły pod Grunwaldem, jak po powstaniu hitlerowcy zniszczyli Warszawę, itd. — takie dziecko wchłonie nieporównanie więcej Polski, więcej wiedzy o Polsce aniżeli dziecko jadące do naszego starego Kraju bez żadnej o nim wiedzy.

Do wakacji jest jeszcze trochę czasu. Na to, aby dzieci przygotować, nie jest jeszcze za późno. A naprawdę warto, aby rodzice wzięli tę sprawę do serca.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

„SAMSON” W RESISTANCE Z KOPALNI DELLOYE

W 1943 r. „Samson” wstąpił w szeregi ruchu oporu. Dzięki pomocy kolegów-górników ze swojej „piątki” miał dostęp i możliwości organizowania tam akcji sabotażowych.

— Nasze akcje sabotażowe — opowiada dziś Franciszek Morenc, ów „Samson”, polegały m. in. na zdobywaniu broni od Niemców, a następnie uszkadzaniu i wysadzeniu linii wysokiego napięcia. Na co dzień robiliśmy wszystko, co mogło utrudnić życie i systematyczną pracę okupantom. Trzeba było m. in. zarówno w kopalniach Guesnain, jak i Masny czy Abscon likwidować niemieckich konfidentów, uniemożliwić hitlerowcom ich werbunek, zdobywać dla ludności francuskiej kartki żywnościowe, organizować zbieranie informacji o ruchu niemieckich jednostek wojskowych itp. Wiele było takich zadań.

W całej Europie Niemcy zmuszali górników do pracy nie tylko w dni powszednie. I oto partyzanci z grupy „Samsona” postanowili którejś niedzieli nie dopuścić robotników do pracy. Obstawili drogi wiodące do kopalni, po czym groźbą lub prośbą — nie pozwalali jechać do kopalni. Większość bez specjalnych oporów poddawała się „przemocy”. Kilka tysięcy ton węgla nie poszło dla Niemców.

— W czasie tej akcji byliśmy odpowiednio zamaskowani, by nas koledzy nie rozpoznali. Jakie było moje zaskoczenie, gdy musiałem grozić bronią własnemu ojcu, który jechał rowerem do pracy. Nie rozpoznał mnie. Potem relacjonował w domu całe to przeżycie, twierdząc, że się absolutnie nie bał „tych szczeniaków”. „Gdyby zachowywali się niestosownie, on by im pokazał gdzie raki zimują”.

„Samson” do końca pracy konspiracyjnej nie ujawnił się przed rodzicami. Nawet wówczas, gdy w piwnicy zorganizował cały skład amunicji. Pod stertą węgla w specjalnej skrzynce gromadził broń. Rozdawał ją kolegom z „piątki” przed każdą akcją.

— Do trudniejszych akcji należały „rozmowy” ze sztygarami, nadgorliwcami w pracy, którzy straszili wyspaniem przed Niemcami. Kiedy jeden ze sztygarów zorientował się, co mu grozi, przekonał się, że nie warto być „nadgorliwcem”. Złagodniał i pod ko-

niec wojny można z nim było zupełnie dobrze pracować.

Po wkroczeniu wojsk alianckich cała „piątka” wstąpiła do polskiej jednostki wojskowej formowanej przy Armii Francuskiej na terenie Guesnain i Lewarde, która następnie weszła w skład 29 i 19 ZPP.

Jak potoczyły się dalsze losy „Samsona”?

Wraz z tysiącami polskich żołnierzy Franciszek Morenc wrócił do Kraju. Jego rodzice i brat zostali w Francji, gdzie mieszkają do dziś — w Masny. On zaś, po skończeniu w Warszawie wyższych studiów w Szkole Głównej Służby Zagranicznej, od 20 lat jest polskim pracownikiem konsularnym. Był już w wielu krajach europejskich i pozaeuropejskich. Szczególnie bliski są mu sprawy środowisk polonijnych.

(K.K.)

DZIECI Z POLSKI PAMIĘTAJĄ O DZIECIACH POLONII

Uczniowie jednej ze szkół podstawowych w Warszawie pasjonowali się zbieraniem i wymianą kolorowych zdjęć o tematyce geograficznej. Najpierw wymieniali zdjęcia między sobą, później nawiązywali korespondencję i wymianę z kolegami z zagranicy. Kiedy przekonali się, że barwne zdjęcia z Polski mają ogromne powodzenie, postanowili dotychczasowe hobby przekształcić w poważniejszą inicjatywę.

Tak powstały 24 albumy poświęcone nie tylko krajoobrazowi Polski, ale mówiące o życiu w Kraju. Czego nie przedstawili w swych pracach fotograficznych — uzupełniły same dzieci. Przez wiele tygodni malowały barwne scenki z życia szkolnego, gry i zabawy, zdjęcia w kółkach zainteresowań, w pracowniach technicznych, a także własne domy, osiedla. A to, czego nie zdołała przedstawić nawet własna twórczość plastyczna warszawskich dzieci, znalazło się w listach. Albumy są bowiem przeznaczone dla dzieci Polonii, które Kraj znają często tylko z opowiadań rodziców, czasem nawet tylko dziadków. Wspomnienia starszych, choć serdeczne, są przecież coraz bliższe i coraz bardziej odległe od dnia dzisiejszego — warszawskie dzieci pragnęły swym różniestwem pokazać, jak dziś wygląda Polska.

W pierwszych dniach czerwca delegacja uczniowska przekazała swe podarunki Towarzystwu Łączności z Polonią. Tą drogą albumy wraz z listami trafią do dzieci polskich we Francji, W. Brytanii, NRF i Kanadzie.

(h)

FILMY POLSKIE ZA GRANICĄ

W obchodach 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, organizowanych na całym świecie, powzięty udział bierze polska kinematografia. Dziesiątki różnorodnych imprez filmowych — przeglądów i festiwalu — odbędą się w br. w licznych krajach.

W Fryzju zorganizowany zostanie we wrześniu Tydzień filmów polskich, który da okazję obejrzenia w kinie „Bonaparte” zestawu filmów zrealizowanych w ostatnich latach. Podobne imprezy zostały już urządzone lub rozpoczynają się w najbliższym czasie w Pontalier, Besancon, Lille i szeregu innych miast Francji. W Anglii przeglądy filmowe odbędą się w Manchesterze, Liverpoolu, Lancasterze i Sheffield. Szkocko-Polskie Towarzystwo Kulturalne wystąpiło z inicjatywą urządzenia w Glasgow jesienią br. festiwalu filmu polskiego, na którym ma być wyświetlonych siedem filmów fabularnych oraz szereg krótkometrażówek. Tydzień filmów polskich odbędzie się w listopadzie w Rzymie. Warto podkreślić, że w szeregu miast Włoch urządzone są obecnie, najczęściej z inicjatywy miejscowych władz lub instytucji kulturalnych, różnorodne polskie imprezy filmowe. W Brukseli, obok premiery filmu „Wszystko na sprzedaż”, przewidziany jest przegląd retrospektywny polskich filmów, obejmujący „Fajót, diament”, „Kanał”, „Erolkę”, „Paszerekę”, „Matkę Joannę od Aniołów” i „Nóż w wodzie”. Premiera filmu „Wszystko na sprzedaż” odbędzie się także w Szwajcarii. Prezentacja polskich filmów odbędzie się także w Kopenhadze, Sztokholmie, Oslo i Helsinkach. Pierwszy przegląd polskich filmów ma być urządzony w Hiszpanii.

§§ MECENAS RADZI

Pan S. J. ARGENTEUIL-95

Mój dobry znajomy pobiera rentę od 60 roku życia i słyszał, że dostanie rentę pełną, gdy skończy lat 70.

Sprawa przedstawia się inaczej, gdyż jak wiadomo, ażeby uzyskać pensję starości, wystarczy mieć ukończonych 60 lat. Ten, kto wystąpi o rentę po 60 roku życia, nie może osiągnąć takiej renty jak ten, który to zrobił po 65 roku życia. Po 60 roku życia przysługuje bowiem pensja starości równająca się wysokości 20% przeciętnej zarobku z dziesięciu ostatnich lat poprzedzających datę zaprzestania pracy. Natomiast za każdy rok po 60 roku życia dochodzi dodatkowo 4%, czyli 1% od trymestru, a zatem w 63 roku życia pensja starości będzie się równała 40%. — Wobec tego, że pański znajomy przeszedł na emeryturę w 60 roku życia, po dojrzeniu do 65 lat, pensja jego zostanie zrewaloryzowana przez zastosowanie odpowiednich współczynników, ale procent jej zostanie bez zmiany.

„EK-STASIS” — ORYGINALNE WIDOWISKO W DOMU MŁODZIEŻY I KULTURY W PARYŻU XIII

Grupa młodych artystów dokonała w Paryżu próby stworzenia widowiska łączącego elementy dźwięku, gestu i rzeźby elektrokinetycznej. W grupie tej znalazł się **Constantin Xenakis** — malarz i rzeźbiarz grecki; oraz trzy Polki: pp. **Joanna Bruzdowicz**, **Elżbieta Sikora** i **Ella Jaroszewicz**.

Pierwsza z nich, **Joanna Bruzdowicz** — stypendystka Rządu Francuskiego, uczennica Nadii Boulanger i Oliviera Messiaena, praktykantka Grupy Poszukiwań Muzycznych w Office de la Radio et de la Télévision Française, jest kompozytorką. **Elżbieta Sikora**, inżynier dźwięku, odbywa praktykę w tej samej grupie

ORTF. Wspólną ich pracą, dokonaną dzięki patronatowi i z poparciem Service de Recherches Musicales ORTF, a w szczególności pp. Pierre Schaeffera i François Bayle, jest tło muzyki elektroakustycznej. Utwór ten stworzony został przez autorki jako dopełnienie wizji elementów rzeźbiarskich w ruchu oraz pantomimy.

Widowisko, do którego tło muzyczne stworzyły obie Polki, odbywa się na kilku płaszczyznach. Ruch kolorowych elementów geometrycznych, którego efekty zwielokrotniają odpowiednio porostawiane na scenie lustra, stanowi już swego rodzaju samodzielny spektakl. Jednakże autorzy postanowili dodać do niego jeszcze pantomimę. Jest ona dziełem **Eli Jaroszewicz**, profesora szkoły przy Operze Paryskiej i organizatorki prywatnej szkoły pantomimy w Paryżu. Grupa pięciu uczniów tej szkoły — Francuzów

i cudzoziemców — wykonywała, w łączności z resztą tego oryginalnego widowiska, pantomimę, której zamierzeniem było jak największe zbliżenie się do naturalnego, organicznego ruchu ciała ludzkiego.

Spektakl ten, zatytułowany „Ek-Stasis”, wystawiano dwukrotnie w Paryżu, w Domu Młodzieży i Kultury XIII okręgu stolicy. Ponieważ odbywał się z udziałem tłumionej gwiazdy, zdjęcia fotograficzne nie mogą oddać jego efektów.

Po pierwszym spektaklu odbyła się dyskusja, w której wzięła udział publiczność, autorzy i aktorzy. Zagałę ją dyrektor Ośrodka Kultury Polskiej na Sorbonie **prof. Frybes**, który patronował temu ciekawemu przedsięwzięciu artystycznemu.

Zdjęcie:
Władysław SŁAWNY



Po spektaklu odbyła się dyskusja z udziałem publiczności, autorów i aktorów tego niezwykle ciekawego widowiska



ECHA ŚWIĘTA MATKI — ODZNACZENIA

W roku bieżącym Ministerstwo do Spraw Rodzinnych odznaczyło liczne zasłużone matki medalami Rodziny Francuskiej. I tak otrzymały je m.in. w Mazingarbe: p. **Władysława Rogala**, p. **Helena Walkowiak-Kusz** (medale brązowe); St. Vallier: p. **Mierzwińska** (medal srebrny) i p. **Konicznaga** (medal brązowy); Florange: p. **Monika Piotrowska-Dugast** (medal brązowy); Harnes: p. **Elżbieta Cormont-Wojtkowiak** (medal brązowy); Roost-Warendin: p. **Rosińska** (medal brązowy); Noeux-les-Mines: p. **Andrea Strzykalska-Rattel** (medal złoty); Marchiennes: p. **Stefania Flament** z domu Kwiatkowska (medal złoty); Billy-Montigny: p. **Teresa Czarnecka-Kukuła**, p. **Stefania Coroller-Leszczynska** (medale złote).

ZŁOTE GODY

MÉRICOURT. Z okazji Święta Matki tutejszy zarząd miejski wydał przyjęcie dla małżeństw, które w tym roku obchodzą swoje złote gody małżeńskie. Są nimi m.in. małżeństwa: p. **Zofia Szafranśka** — p. **Józef Karaśkiewicz** i p. **Stanisława Poślechnik** — p. **Aleksander Filipowiak**. Jubilatki spędzili jako górniczy dłuższe lata pod ziemią, podczas gdy jubilatki wychowywały wzorowo dzieci, co podkreślił mer miasta w swoim przemówieniu. Państwo Karaśkiewiczowie mają już pięcioro prawnucząt, a państwo Filipowiakowie 17 wnuków. Kwiaty i upominki zakończyły tę miłą uroczystość, która odbyła się w reprezentacyjnej sali merostwa.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SADACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

LOOS-en-GOHELLE. W ramach tegorocznego Święta Matki odbyło się na tutejszym merostwie symboliczne odnowienie ślubów zawartych przed 25 laty. W roku bieżącym srebrne gody obchodzili państwo **Starosta-Mikołajczak** i państwo **Jayot-Kobwołowski**. W czasie uroczystości wydanej z tej okazji przez zarząd miejski, przygrywała orkiestra miejska. W imieniu miasta przemawiał do jubilatów mer p. **Leclercq**.

DYPLOMY SAMARYTAŃSKIE

LOISON-sous-LENS. Ostatnio zakończył się kurs samarytański w Noyelles. W wyniku egzaminów dyplomy otrzymali: p. **Michel Karolczyk**, p. **Monika Banaś**, p. **Claudine Kaczmarek**, p. **Clair Kolanczyk**. Dyplomy wręczył p. **Nollet**, odpowiedzialny za społeczną opiekę sanitarną północnej Francji.

MOYEUVRE-GRANDE. Kurs samarytański Francuskiego Czerwonego Krzyża pomyślnie ukończyli p. **Alain Antczak** i **Dominique Ewangelista**.

Z ŻYCIA RÓŻNYCH TOWARZYSTW

SALLAUMINES. Tutejsze bractwo kurkowe prowadzi nieustający konkurs strzelania. W chwili obecnej w tabeli prowadzi p. **Kazimierz Wyzgał** (494 pkt.), drugie miejsce zajmuje p. **Józef Dombrowski** (492 pkt.), trzecie miejsce p. **Julie** (492 pkt.) i czwarte p. **Józefina Wolnicz** (486 pkt.).

BULLY-les-MINES. Z okazji walnego zebrania „Amicale des Ecoles” dyplom honorowy stowarzyszenia za długoletnią pracę otrzymał p. **Jan Bialek**.

AIX-NOULETTE. Przeszło 140 miłośników wędki stanęło do zawodów o tytuł najlepszego wędkarza, zorganizowanych przez „La Truite Aixoise”. Drugie miejsce zajął p. **Jan Nowak** z Noyelles-sous-Lens, a czwarte — p. **Marceli Kicin** z Sissonne.

MACON. Najlepsi wędkarze Burgundii walczyli o tytuły mistrzów. Do konkursu stanęło ponad 200 uczestników. P. **Wisniewski** z Dorlay zajął miejsce 16, p. **Antoniewicz** z Montceau — 22, p. **Fafara** z Dorlay — 29, p. **Cichocki** z Gones — 31, p. **Brzozowski** z Montceau — 36, p. **Kaczmarek** z Le Creusot — 39, p. **Kochanek** z Montceau — 47.

NOEUX-les-MINES. Tutejsze „Cercle Laique Noeuxois” zorganizowało ostatnio tradycyjne strzelanie towarzyskie. W kategorii seniorów zwyciężył p. **Błaszczak** przed p. **Wiórkim**. W kategorii kadetów p. **Robakowski** zajął drugie miejsce, a w kategorii minimów p. **Mazurek** czwar-

te miejsce, p. **T. Błaszczak** — 10, p. **J. Mazurek** — 14, i p. **F. Błaszczak** — 15.

BÉTHUNE. W konkursie strzelania „Amicale Michelet” w kategorii kadetów p. **Franciszek Ostrowski** zajął drugie miejsce.

LES GAUTHERETS. Miejscowi mandoliniści, stowarzyszeni w „L'Oiseau Errant” obradowali nad sprawozdaniami zarządu, któremu przewodniczył p. **Zaremba**. Po wyrażeniu uznania zarządowi, postanowiono zorganizować jeszcze przed wakacjami duży koncert.

ESSARTS. Miejscowi młodzi buliści zyskali ostatnio bardzo doświadczonego trenera w osobie p. **Antoniego Małeckiego**, zwanego potocznie „Antkiem”. Liczne grono młodych adeptów tego sportu towarzyskiego korzysta chętnie z dobrych rad p. **Małeckiego**, który sprawuje ostatnio funkcje wiceprezesa i kierownika technicznego sekcji.

HARNES. W ostatnim konkursie bulistycznym stowarzyszenia „Ste Barbe” p. **Michał Sosnowski** zajął trzecie miejsce.

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

St. Vallier: Patrick Zuchowski, David Andrzejczak. **St. Etienne:** Yannick Juchocki (Lyon), David Kortulewski. **Montigny-les-Metz:** Laurent Plaskacz. **Metz:** Marie-Pierre Ocepok. **St. Marie-aux-Chenes:** Cathy Koniczny. **Douai:** Alexandre Piczulski, Fryderyk Juskowiak, Antoni Szajkowski, Waleria Florczak, Pascal Smolarek, Evelyne Fraszczak, Stefan Grzelak, Ryszard Kisiorok. **Barlin:** David Kubiak. **Sains-en-Gohelle:** Sylvia Grabarska. **Mazingarbe:** Nadine Gierczak. **Bully-les-Mines:** Monika Janiszewska. **Labuissière:** Alain Klimczak. **Auchel:** Wirginia Roszak, Waleria Zawita, Karolina Pawelska, Isabelle Marciszak. **Liévin:** Jean-Marc Kasprzak. **Avion:** Andrzej Marczak. **Loos-en-Gohelle:** Karine Kulik. **Noyelles-sous-Lens:** Marc Pietraszkiewicz. **Flers-en-Escrebieux:** Filip Kaleta, Wincenty Zakrzewski, Nicolas Chmielarczyk, Carole Wywrot. **Wingles:** Walter Michalak.

Szczerze życzymy Rodzicom dużo pociechy z najmłodszych!

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół małżeństwa zawarli ostatnio:

Wingles: Maria Koczwarą i J.-P. Żywocki, Nelly Dembińska i Władysław Kirchner. **Divion:** Nicole Białkowska i Emmanuel Pierre, Janina Malec i Jean Legru. **Montceau-les-Mines:** Christiane Wachowiak i Georges Spiewak. **Lallaing:** Mauricette Sulman i Pierre Klimczak.

Nowożeńcom życzymy dużo pomyślności i tradycyjnych stu lat!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

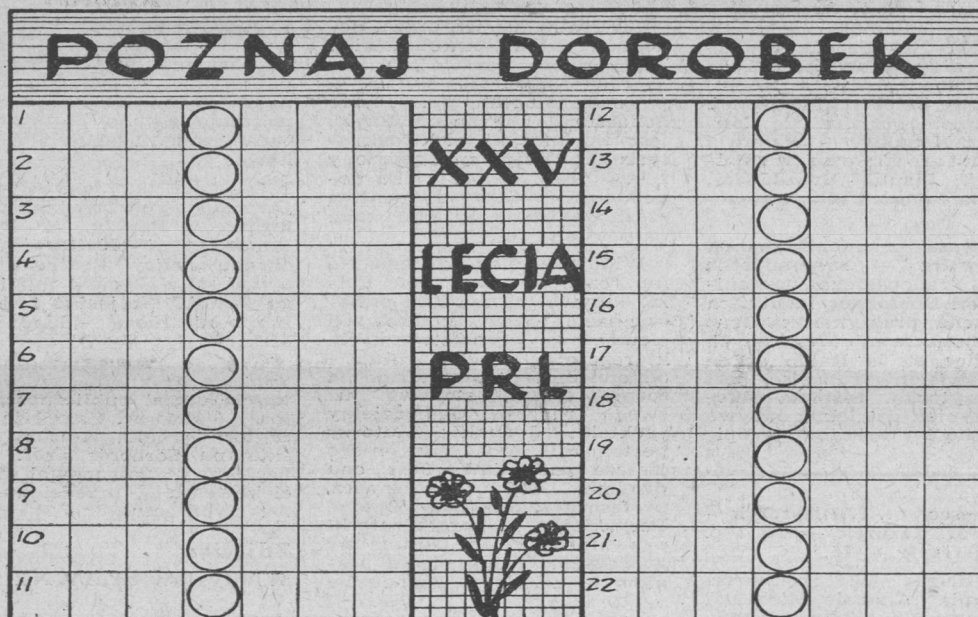
Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

Divion: Guillaume Smyła, lat 67, Józef Mixa, lat 60, Stanisław Ronda, lat 78, Ludwik Sipura, lat 68. **Wingles:** Józefa Tomaszewska z domu Król. **Bully-les-Mines:** Evelyne Broda, lat 18. **Douai:** Maria Sakowska z domu Patlak, lat 73, Stanisław Borycki, lat 73, Wincenty Makulus, lat 77. **Lens:** Bronisław Lesiak, lat 70, Zofia Górecka z domu Smol, lat 47, Antoni Rusinek, lat 69, Kazimierz Lamparski, lat 62, Franciszek Pławiński, lat 59. **Mazingarbe:** Władysława Nowak, zam. Dymała, lat 73. **St. Vallier:** Władysław Ferdyn, lat 81. **Bruay-en-Artois:** Wacław Nawrocki. **Calonne Ricouart:** Ludwika Achtabowska z domu Ruster. **Carvin:** Jan Gburek. **Harnes:** Antoni Duleński. **Montceau-les-Mines:** Stanisław Kuś. **Le Creusot:** Marian Witkowski, lat 71. **Hénin-Liétard:** Antoni Podgórski, lat 75. **Le Chambon-Feugerolles:** Elżbieta Szwajkowska z domu Wawrzyniak, lat 72. **St. Etienne:** Piotr Jaroniak, lat 60.

Rodzicom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Rozrywki umysłowe

TV DU 6 AU 12 JUILLET 1969



PREMIERE CHAINE

TELE-MIDI → 13.00. TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.15 (sauf le dimanche)
„LE COMTE YORSTER A BIEN L'HONNEUR” — 12.30 (sauf le dimanche)
„UNE FEMME A AIMER” — 13.15 (sauf vendredi et dimanche)
ETE MAGAZINE — 19.00 et 19.40 la suite (sauf le dimanche)

DIMANCHE 6 JUILLET.

9.10. Télé-Matin.
12.02. La séquence du spectateur.
13.40. Cavalier seul.
14.30. „L'ami public nr 1” — Walt Disney — une émission de P. Tchernia
15.30. Télé-Dimanche.
19.30. „Minouche”.
20.30. Eurovision: Tour de France.
20.50. „Viva Villa” — un film de Jack Conway.
22.25. Vocations — une émission du Service de la Recherche.

LUNDI 7 JUILLET.

16.30. Tour de France.
18.30. Magazine féminin.
20.30. Tour de France.
20.40. „Les voyages de Jaimie Mac Pheeters”.
21.30. Psychologie — „Adolescence” 2-ème partie: „les chemins de la vie”.

MARDI 8 JUILLET.

13.30. Je voudrais savoir.
15.30. Tour de France.
18.30. Quatre saisons.
20.30. Tour de France.
20.40. En vatre âme et conscience.
22.10. Demain commence aujourd'hui. — une émission d'Henri Polade nr. 1.

MERCREDI 9 JUILLET.

16.30. Tour de France.
18.30. Lire et comprendre.
20.30. Tour de France.
20.40. Piste aux étoiles.
21.40. Atelier 70.
22.25. Micros et cameras.

JEUDI 10 JUILLET.

16.00. Tour de France.
18.30. La séquence du jeune spectateur.
20.30. Tour de France.
20.40. Panorama.
21.40. „Que fairait donc Faber?” 2 episode.
22.40. Athlétisme.

VENDREDI 11 JUILLET.

13.15. „Napoleon tel qu'en lui-même”.
16.00. Tour de France.
18.30. France Vacances.
20.30. Tour de France.
20.40. Au théâtre ce soir: „Un amour qui ne finit pas” d'André Roussin.

SAMEDI 12 JUILLET.

17.00. Tour de France.
18.30. Accords d'accordéon.
20.40. Match contre la vie nr. 2 „Cette ville est à vendre”.
21.30. La vie des animaux.
21.45. Chansons et champions.
22.45. „Tous les trains du monde” réal. J. Sirkis.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
COLORIX — EMISSIONS POUR LES JEUNES (C) — 18.55.
ACTUALITES REGIONALES ET COURT MAITRAGE — 19.15.
TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.35.
TELE-SPORTS (C) — 19.55.

DIMANCHE 6 JUILLET.

15.30. (C) Pique-Nique.
17.30. (C) „Tripoli” — un film de Will Price.
19.05. (C) L'amour de l'art.
20.00. (C) Le cheval de fer.
20.50. (C) Cass-Noisette, Ballet de Tchaikowsky.
21.50. (C) Rendez-vous à Warden, émission de Lille.

LUNDI 7 JUILLET.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
20.30. Dans la série perspectives — „Moussolini”.
21.20. (C) Festival de Western: „Le brigand bien-aimé”. — un film de Tenry King.
23.00. (C) Coda.

MARDI 8 JUILLET.

20.00. (C) „D'Iberville” nr 3.
20.30. (C) Regie 4 — une émission de l'actualité télévisée.
22.00. Cycle de Jean Cocteau: „La belle et la bête” — (Jean Marais, Michel Auclair).
23.30. (C) Coda.

MERCREDI 9 JUILLET.

20.00. (C) Soir d'Aventures nr 3 „Portugal pays de Conquérants”.
20.30. (C) Les dossiers de l'écran: „Rendez-vous de juillet” — un film de Jacques Becker.
(C) Débat.
23.35. (C) Coda.

JEUDI 10 JUILLET.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.30. (C) Music-Album.
21.30. (C) „Arcana” — la connaissance de la musique.
21.55. Concert.
22.25. (C) Coda.

VENDREDI 11 JUILLET.

20.00. Hollywood Panorama: „Nathalie Wood”.
20.30. (C) Vacances en Suisse — „Rose d'or de Montreux 1969”.
21.30. Cycle du „Cinéma Novo” „Brésilien: „Dieu noir et diable blond” — un film de Glauber Rocha.
23.15. (C) Coda.

SAMEDI 12 JUILLET.

20.00. (C) Rendez-vous de l'aventure.
20.30. (C) „Le Survivant” de J. F. Noel, réal. Louis Grosperre.
21.50. (C) Manitas de Plata.
22.40. (C) Coda.

LOGOGRYF

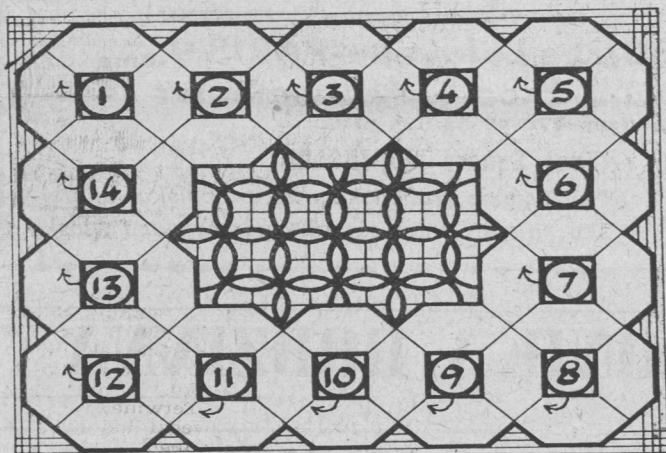
Prosimy odgadnąć 22 wyrazy 7-litowe o podanych niżej znaczeniach i wpisać je poziomo do odpowiednich kratki rysunku, mając na uwadze, że wszystkie początkowe litery są jednakowe. Litery, które się znajdują w kratkach

z kółkami, czytane pionowo dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) okazałe drzwi dwuskrzydłowe, 2) codzienna modlitwa, 3) sylwetka, powierzchność, prezenca, 4) ruchoma zasłona domowa, 5) szef rządu, 6) miejsce, stanowisko sytuacja, 7) puchowy materac, 8) Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem, 9) wyrób,

10) legenda, 11) posadzka ułożona z drewnianych klepek, 12) dwie ćwiartki, 13) oszczerstwo, 14) wielki las odwieczny, 15) ośmiśzające naśladownictwo, 16) obuwie bez cholewek, 17) mazgaj, bekksa, 18) dzielenie na części, 19) powodziowe wezbranie wód, 20) upominek, 21) miejsce do walki szermierczej, 22) złośliwy do-cinek, przymówka.



ROZWIĄZANIE SZYFROGRAMU Z N-RU 24

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi
Przez uszanowanie dla darów nieba...
Tęskno mi, Panie...

(Cyprian Kamil Norwid)

KLUCZ POMOCNICZY: tuzin, wrzątek, zdjęcie, bród, sen, węgiel, dobosze, honor, nuda, zimno, szyna, Zasada, apel, egoizm, Kiepora, pniak.

W BORACH TUCHOLSKICH „ZAJAZD NA ROZDROŻU”

Wzdłuż najbardziej uczęszczanych szlaków turystycznych w województwie bydgoskim znajduje się kilkanaście zajazdów. W „Zajazdzie na rozdrożu”, odnowionym i prowadzonym przez miejscową gminną spółdzielnię, znajduje się estetycznie urządzonej lokal gastronomiczny z salą dancingową oraz hotelik na kilkanaście miejsc. Na rozległym zielonym terenie, okalającym turystyczną gospodę, postawiono muszlę koncertową oraz ogródek pod parasolem. Turyści licznie odwiedzają będą Żalno, gdyż dotychczas wielu z nich nie

mając zapewnionego noclegu i wyżywienia rezygnowało z wypoczynku w tym pięknym zakątku tucholskiego powiatu.

RADIOODBIJORNIKI — TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

LENG-PICARD ET C-je

16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy

Telefony; 73.39.43, 73.29.47

ROUBAIX (Nord)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20.76 Paris

34/7 rue Chauteur-Lodelinsart
Mme OI. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

Historia przedstawiona w naszej powieści rysunkowej jest jak najbardziej autentyczna. Oparto ją na Pamiętnikach Jana Chryzostoma Paska oraz innych współczesnych relacjach z wojny ze Szwedami w XVII wieku a także na badaniach historyków.

Kawaleria na okręty

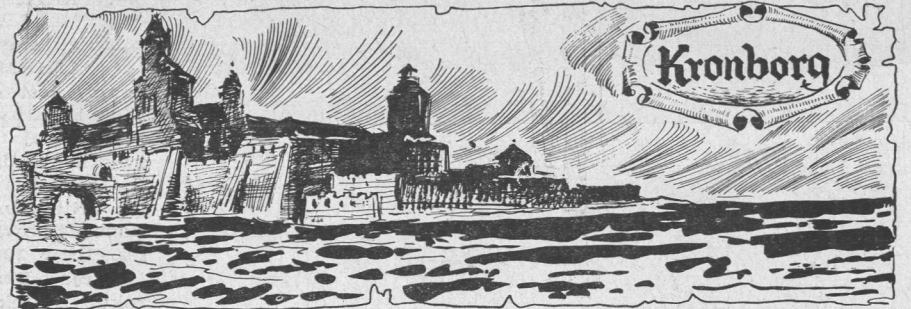
Wspomnienia Imc Pana Jana Chryzostoma Paska

Dziś: FRIDERICA
W POLSKICH
RĘKACH

15

Rysował

Wł. Dybczyński



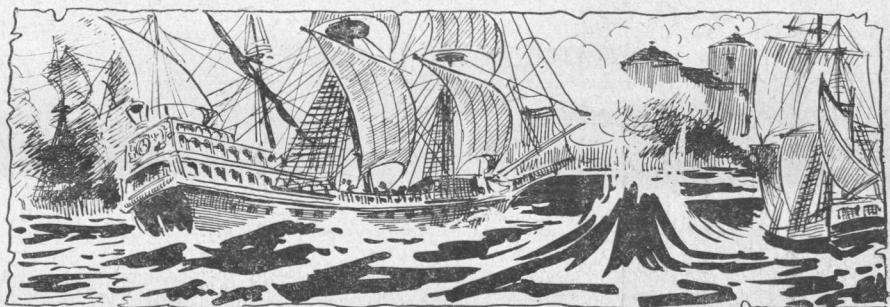
Pewnego dnia przyszedł rozkaz, że wszystkie wojska mają się zgromadzić w obozie między Fridericą a Ribe, na zachodnim wybrzeżu Jutlandii. Pierwsze z nich pan Pasek nazywał Fryderyzant, drugie — Rypen. W fortcey Friderica utrzymywali się Szwedzi. Rozkazy przed wymarszem podkreślały, aby wszystkie pułki stanęły w nowym obozie w ciągu jednego dnia. Dotyczyło to Polskich, jak i innych wojsk sojuszniczych, które miały atakować fortecę Friderica. Polacy wysypali się w ciągu kilku godzin jak z rękawa, jak przystało na dobrego żołnierza, ale cesarcy ścigali przez półtora tygodnia. Jedno wojsko stanęło o milę od drugiego. Cesarzskimi dowodził gen. Montecuccoli, dowództwem wyższym od pana Czarnieckiego. Miał on do Polaka pretensje, gdyż wszyscy oficerowie króla duńskiego zwracali się po rozkazy do Czarnieckiego, bo takie mieli polecenie od swego króla. Poza tym woleli mieć do czynienia ze sławnym wojownikiem, jakim był pan Czarniecki, który dał się im już poznać.

Nie było to łatwe. Dziś Friderica jest obiektem zabytkowym, ale wtedy, ho, ho! „Pomieniona forteca Fryderyzant styka się z Oceanem w kierunku Fionii — uświadamia nas w tej sprawie pan Pasek. — Insze zaś takie kąty ma Dania jeszcze dwa: Helsingfor i Kronborg, które prawie naprzeciwko siebie stoja i nikt na świecie, choćby z najpotężniejszą flotą nie może przechodzić na Ocean z morza Bałtyckiego bez zezwolenia króla duńskiego. Ten Kronborg zafundował Fridericus Daniae rex nie wiem już który, bo tam u nich Fryderyków było kilku. Kazał wrzucić w morską głębokość okrutną kamieni wielość, z których uczynił w głębi fundamenta i dopiero na tym wyniósł warownię jedną z największych na morzu, która opiera się wszelkiej nawalności. Tam między tymi fortcami każdy nawigujący musi się kłaniać i prosić o pozwolenie przepłynięcia, i płacić cło ustanowione, albo opłatę portową”. Tak więc wojska polskie miały zdobyć Fridericę, opanowaną przez Szwedów.



Od słowa do słowa, od sprzeczki do sprzeczki, aż się obaj wodzowie pokłócili. Na co pan Czarniecki: „Nie trzeba się tu swarzyć ani gniewać o tę prezentację, którą może między nami rozstrzygnąć żelazo. Tyś żołnierz, ja żołnierz. Tyś generał i ja generał. Sprawimy się jutro”. I posłał pan wojewoda do cesarskiego wodza swojego człowieka z wezwaniem na pojedynek. Był nim Michał Skrowaszewski, porucznik pułku Leszczyńskiego. Ale cesarski generał nie chciał wyjechać naprzeciw Czarnieckiemu. Też wysłał do niego oficera i coś w liście Czarnieckiemu napisał. Ten, gdy przeczytał, aż podskoczył, zrozumiał, że generał przybędzie. Zdziwił się też bardzo, że Montecuccoli nie przybył osobiście, a jedynie wysłał delegację. I tak się wszystko rozeszło. Wielki elektor, Fryderyk Wilhelm, który był wtedy o trzy mile od polskich wojsk, powiedział potem Montecuccoliemu, że dobrze zrobił, iż na placu przeciw Czarnieckiemu nie stanął, gdyż musiałby potem przeciw elektorowi stanąć.

Skończyły się w obozie polskim wczasowania. Cała uwaga została teraz zwrócona na Fridericę. Żołnierze podbiegali do wałów, strzelali, wywabiali Szwedów z wnętrza. „I byli tacy głupi — informuje Pasek — że się dali łowić. Ale potem zaniechali wypadów. Dopiero w nocy usypali nasi szanice tak blisko fortecy, że i z muszkietu a nie tylko z dział donosiło. Na drugą noc jeszcze je umocnili i armaty sprowadzili, a wszystko bardzo cichusieńko. I od razu wtedy przed świtaniem nawiedzili nasi Szwedów, dragonia Tetwina, i to tak blisko, że prawie muszkietami sięgali do jednej wieży. Szwedzi ich odparli, ale widać było, że tracą serce do walki. Wypadli oni jeszcze tego dnia po południu, ale ich potężnie nasi wytrzymali. Wojsko z obozu też szybko z pomocą przeciw nim pośpieszyło. Uciekli nazad zostawiwszy trupa kilkadziesiąt”. Polacy liczyli, że im jeszcze przyjdzie fortecę długo oblegać i że trzeba będzie niejedną stratę ponieść, a tymczasem następna noc przyniosła niespodziankę.

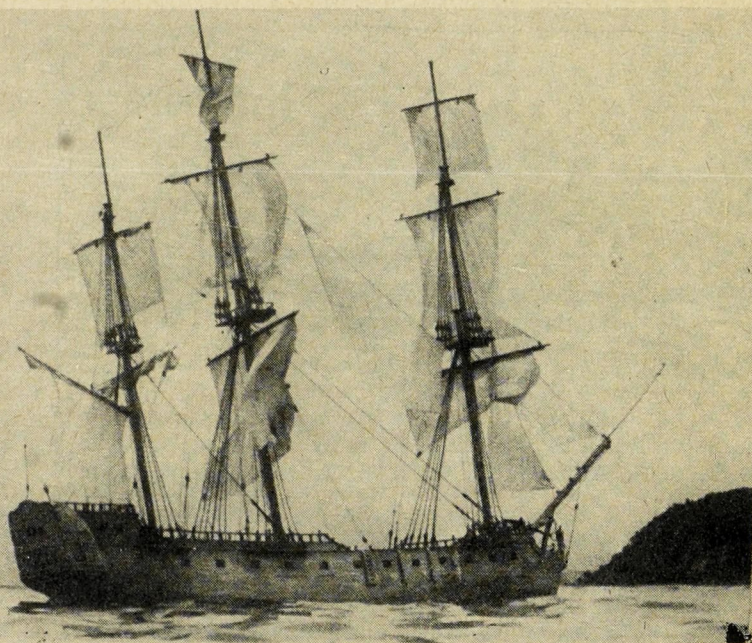


Co było dalej, opowiada nam pan Pasek: „Trzeciego dnia Pan Bóg skarał Montekukulego — jak mówił o generale. — Z działa go postrzelono. Nawet go sama kula nie uderzyła, ale drzazga z okręgu od kuli wycięta i obiedwie podcięta mu łydki. Chciał się czymś popisać, bo jeszcze nic nie sprawił, a przez dwie zimy chleb zjadał. Chciał czegoś bez nas dokazać. Obsadził tedy okręty holenderskie i inne, kupieckie, które posprowadzał, swoimi ludźmi i wjechał między Fionię i Fryderyzant. Jak go Szwedzi poczęli obracać i z tej, i tej strony, wrócił na brzeg z wielką konfuzją i nadwierusznymi łydkami. Znać, że rozkazy boskie takie były, aby tę sławną fortecę (Fridericę), jak tamtą prowincję (Fionię), nie szpada niemiecka, ale polską zawojowała szabla. Chciał pewnie Pan Bóg nagrodzić naszemu narodowi owe wielkie straty, któreśmy za jego dopuszczeniem od narodu szwedzkiego w naszej ojczyźnie ponieśli”. Niebawem chorągwie polskie musiały się przyszykować do ataku na warownię

Była to noc z poniedziałku na wtorek 26/27 maja 1659. Szwedzi spodziewali się generalnego ataku Polaków. Koło północy uczynili na wałach hałas, jakby sami mieli nacierać, a od strony morza załadowali na statki co się dało i całą załogę i odplynęli na Fionię. Rano Polacy dziwują się, czemu sąsiedztwo takie ciche. Ale szybko się spostrzegli, wyskoczyli na wały, do wczoraj jeszcze szwedzkie, i dalej wywijać chorągiewkami i wołać: „Vivat rex Daniae!” — „Niech żyje król Danii!” Pan wojewoda zaraz wydał rozkaz, aby ludzie Tetwina otoczyli warownię i zabronił doń wchodzić. Mogli przeciw Szwedzi przygotować niespodziankę. Zanim do tego doszło, już z innych chorągwi dopadli do środka, by się obłowić łupami. Niewiele znaleźli: trochę jarzyn, resztę wywieźli Szwedzi. Pan Czarniecki miał rację. Szwedzi przygotowali miny. Unieszkodliwiono je, ale i tak się dwa budynki spaliły, tyle że w ludziach żadnych strat nie było. W Friderica znalazła się bez walki w rękach Polaków.

W następnym numerze: ROZKAZ DO POWROTU

„BENITO CERENO”



SERGE ROULLET (realizator filmu „Le Mur”) ukończył swój drugi długi metraż „BENITO CERENO” ou L'HUMILIATION. Temat scenariusza oparty jest na powieści Hermana Melville. Film kręcony był w pobliżu małej wyspy tropikalnej u wybrzeży brazylijskich, w niezwykle trudnych warunkach. Historię filmu można ująć jednym zdaniem realizatora: „Niewolnictwo nie zostało jeszcze zniesione całkowicie, problem Murzynów istnieje jeszcze w 1969 roku”.

Akcja „Benita Cereno” dzieje się w 1779 roku. Statek hiszpański „Santo Domingo” transportuje czarnych do Peru. Nagle wybuchają bunt niewolników. Załoga statku zaskoczona w głębokim śnie zostaje zmasakrowana. Pozostaje przy życiu tylko

7 marynarzy i kapitan statku Benito Cereno, których szef buntu Atimbo uważa za niezbędnych do zrealizowania podróży powrotnej do Afryki. Pewnego dnia „Santo Domingo” dopływa do pozornie bezludnej wyspy, do której już przybił uprzednio statek amerykański. Kapitan statku odgaduje, że sytuacja na „Santo Domingo” jest niejasna i dość szybko odkrywa jej powód. Decyduje się przywrócić porządek i karze buntowników zostawiając kilku tylko żywych, ale zakuwa ich na nowo w łańcuchy. W Limie odbywa się proces przywódcy buntu Atimbo. Nie ratuje jednak to BENITA CERENO umierającego z wycieńczenia z powodu nieludzkich warunków i upokorzenia w jakim żył przez okres kiedy był kapitanem-niewolnikiem byłych niewolników.

L'ACTION de „BENITO CERENO” se déroule en 1779. Un navire espagnol le „Santo Domingo” transporte des noirs au Pérou, via le Cap Horn. Soudain les esclaves se mutinent. L'équipage, surpris dans son sommeil, est massacré, sauf sept, dont le capitaine Benito Cereno, que le chef des révoltés, Atimbo, a décidé de garder en vie pour qu'il les aide à ramener le navire en Afrique. Alexandro Arabá, le propriétaire de la cargaison d'esclaves, est jugé par un tribunal et exécuté: les esclaves sont désormais des hommes libres. Un jour le „Santo Domingo” aborde une île supposée déserte pour s'y ravitailler en eau, mais, etc... Dans une baie, un navire américain y est déjà ancré. Le capitaine de ce navire, intrigué par le „Santo Domingo” décide de se rendre à son bord. Il trouve Benito Cereno dans un état pitoyable. On lui explique que l'équipage a été décimé par le scorbut, seulement les plus solides ont survécu, c'est qui explique un si maigre équipage... Mais le capitaine américain Amaso Delano, devine que quelque chose d'étrange s'est déroulé sur ce navire... Il essaie de comprendre... mais ce n'est pas facile... Brutalement, la vérité se manifeste. Delano n'hésite pas. L'ordre sera établi sur mer, quitte à tuer tout les noirs, et même quelques espagnols. Les quelques esclaves survivants reprennent leurs chaînes... Le procès d'Atimbo a lieu à Lima... Mais Benito Cereno, trop longtemps humilié, brisé par ces événements, n'est pas en état de comparaître... Tandis que l'américain réclame pour lui la moitié du navire, Benito Cereno, exténué sur un lit d'hôpital, s'enfonce dans la mort...

— Ce film est, dans un sens, proche d'un film d'aventures, mais il approfondit avec force et tension des thèmes complexes, éclaire l'envers de toute chose et l'ambiguïté de nos actes, car si l'action est située dans le temps, les caractères et les réactions des personnages sont de toujours.

